№ 19. Warszawa, dnia 27 Kwietnia (9 Maja) 1885 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

NA CIĘŻKIE CZASY.

„Ciężkie czasy!" te dwa smutne wyrazy słyszymy nieustannie; powtarzają się one w życiu codziennem, w kółku domowem, w towarzystwach, na ulicy, w salonie, na wsi, w mieście, w prasie peryodycznej, słowem wszędzie. Gdzie się obrócić, gdzie ruszyć się tylko, wszędzie ten wykrzyknik fatalny: „ciężkie czasy! ciężkie czasy!"

W mieście nie znać tak bardzo powszechnej biedy i stagnacyi; bogate wystawy sklepów, piękne domy, eleganckie powozy i konie, wszystko to każe zapominać że żyjemy zaprawdę z dnia na dzień, w smutnych bardzo warunkach, że o grosz trudno, że tysiące rąk nie mają zatrudnienia, a o najmarniejszą posadkę dobijają się setki kandydatów.

Bieda i nędza kryje się po suterynach i poddaszach, łachman wstydzi się światła dziennego, a powierzchowny blichtr przykrywa wszystko. I rzeczywiście, któż patrząc na elegancką karetę ciągnioną przez parę kosztownych koni rassowych, pomyśli, że nad właścicielem tej karety, wygodnie na poduszkach rozpartym, unosi się złowrogie widmo bankructwa? Kto pomyśli, że w niejednej świetnej wystawie sklepowej leży niezapłacony w terminie towar, że lada moment przez eleganckie, kosztowną szybą ozdobione, drzwi sklepu, wejdzie notaryusz z protestem, lub komornik dla dopełnienia zajęcia... Wszystko to niknie w masie, w gwarze, krzyku, w tej ruchomej fali ludzkiej, która, od świtu aż do nocy późnej, przepływa przez ulice Warszawy.

Na wsi (a o niej głównie dziś mówić pragniemy) dzieje się inaczej: tam widmo ciężkich czasów przychodzi nagie, jak prawda, nie zamaskowane blichtrem powierzchownym, nie pokryte ułudną draperyą pozorów.

Tam bieda staje przed okiem ludzkiem, jak obnażony szkielet i wyszczerza zęby bez żadnej ceremonii.

Skarb i gmina przychodzą się dopomnieć o podatki i składki, Towarzystwo kredytowe o raty, wierzyciele o procent, oficyaliści i służba o pensyą i ordynaryą.

Walący się budynek zdaje się wołać o naprawę, inwentarz o pożywienie, gospodarstwo o orkę i siew, o maszyny, narzędzia etc.

Gospodarz spogląda smutnem okiem na śpichrz... pełny... jako na jedyną aptekę, z której dotychczas czerpał lekarstwa na wszelkie finansowe dolegliwości. Aż do niedawna był to środek niezawodny i pewny, a kto miał zboże w śpichrzu, mógł spać spokojnie, bo miał jakby pieniądz w kieszeni.

Dziś i to zawodzi.

Bieda dąży do nas z Australii, z Ameryki a nawet z Indyi. Rolnictwo w tamtych stronach dochodzi do znakomitego rozwoju, produkcya bajecznie wzrasta. Rok ubiegły odznacza się powszechnym urodzajem w całym świecie, wszystkie rynki zbytu zasypane są zbożem, o nasze ziarno nikt nie pyta. I oto rolnik polski, mając spichrz pełen, znajduje się naraz w położeniu owego wędrowca z bajki, który znalazł na pustyni wór brylantów i płakał, że to brylanty — nie kasza.

Rozpoczyna się tedy energiczna praca myśli, przychodzi zastanowienie co robić? w jaki sposób wyjść z trudnego położenia, na jakie drogi skierować rolnictwo?

Z dziennikarskich obłoków spada nie deszcz, ale ulewa projektów; ludzie, którzy rzadko kiedy mieli z piórem do czynienia, zarzucają redakcye listami; statystycy grzebią w wykazach i ustawiają olbrzymie kolumny cyfr, dotyczących produkcyi naszej i obcej, a pytanie czem do pewnego stopnia zastąpić uprawę zboża, staje się osią, wkoło której obracają się wszystkie koła inteligentniejszych pracowników społecznych.

Zapytajmy teraz jaki w tym ruchu udział przyjęła kobieta-obywatelka ziemska, kobieta z tej właśnie inteligentnej sfery ziemskiej, która po prababkach jeszcze odziedziczyć powinna zamiłowanie rolnictwa zakątka i tradycyjną siłę do znoszenia doli i niedoli, szczęścia i przeciwności życia.

Wszakże, tak w dziejach pojedyńczych rodów, jakoteż i w historyi ogólnej, wielkiej rodziny, prababki nasze mają piękną i zaszczytną kartę. Z uf-

nością w Boga i z wytrwałością żelazną przenosiły one burze i przeciwności życia, a częstokroć gdy mężowie znajdowali się daleko, one umiały ująć w drobne rączki ster gospodarstwa całego i wywiązywały się doskonale z zadania. Czyżby wnuczki miały się odrodzić od babek?

Przypuszczenie podobne krzywdziłoby polską niewiastę. Kobiety-ziemianki nie zaniedbują swoich obowiązków.

Przedewszystkiem zaznaczyć należy fakt nieulegający zaprzeczeniu, że od lat kilkunastu t. j. od ostatnich przełomów, przez jakie kraj przechodził, powiał i utrzymał się u nas pewien prąd oszczędności, zredukowania wydatków domowych, wyrzeczenia się zbytków i przyjemności kosztownych, nieodpowiednich do budżetu dochodów.

Robiono to z początku przez instynkt zachowawczy, dla ratowania zagrożonego bytu, później zaś przyzwyczajono się do redukcyj, przekonano się o ich ważności!

I to także jest faktem, że przez ostatnie lat dwadzieścia, całe społeczeństwo nasze, inteligentne zwłaszcza, stało się poważniejszem, dojrzalszem, że w zapatrywaniach się jego i poglądach na życie jest więcej rozwagi i powagi niż przedtem. Niejedna panienka, która przed laty marzyła tylko o zabawach i strojach, dziś jako już obywatelka i matka rodziny, widzi najwyższe zadanie i szczęście w spełnianiu obowiązków.

Ten poważniejszy wpływ utrwala się coraz bardziej i umacnia, a młode pokolenie wychowuje się w kierunku praktyczniejszym, nie zatracając jednakże podnioślejszych, piękniejszych stron życia.

Prąd rozwagi, ów gorzki może, ale pożyteczny owoc nieszczęść i doświadczenia, pociągnął za sobą i kobiety. Gdy mężowie tak mozolnie dokładają sił wszelkich, aby gospodarstwo podnieść, aby je udoskonalić i postawić na wyższym stopniu kultury, kobiety ze swej strony czynią także co mogą, aby się do polepszenia bytu przyczynić. Czynią one nawet wiele i bardzo wiele, gdyż mają niespożyty zapas wytrwałości i sił, które czerpią z najszlachetniejszego źródła, bo z serca.

Któż nie zna tych cichych, a niemniej jednak wzruszających dramatów, bohaterki których, wątłe, młode dziewczęta, utrzymują z ciężkiej i nędznie wynagradzanej pracy, rodziców starych, wykolejonych, przyzwyczajonych do lepszego, wygodniejszego życia?

Takie dramaty ciche, nierozgłośne, w których głównym motywem jest praca, poświęcenie się i miłość, są na twardym bruku warszawskim powszednim zjawiskiem, a zarazem najwymowniejszym dowodem, że w sercach Polek nie wygasła tradycyjna szlachetność, że uczucia rodzinne, ten najsilniejszy węzeł społeczeństw, nie rozluźniły się jak gdzieindziej. Kobieta nasza nie jest i nie może być obojętną i zachowującą się biernie tam, gdzie idzie o dobro rodziny i o społeczne dobro, a gdy dziś ziemianin bierze się do wytężonej i inteligentnej pracy, aby odziedziczony po ojcach szmat ziemi utrzymać, to jego żona i córki w zakresie swoich zatrudnień i możności, usiłują czynić to samo.

Obaczmy jakie zmiany powstały w przeciągu ostatnich lat dwudziestu, i jakie przez ten czas prace podjęła słaba dłoń niewieścia.

Przenieśmy się myślą do cichych wiosek, do nizkich dworów i dworków, ocienionych konarami lip odwiecznych, pójdźmy do folwarków, sadów, ogrodów, obór; a przekonamy się dowodnie, że praca kobiety pozostawiła tam już ślady swoje.

Typ pachciarza, który ongi był wszystkiem prawie w folwarku i z zaniedbanej obory ciągnął dochody, znika stopniowo, a całe gospodarstwo nabiałowe prowadzi już w wielu folwarkach sama właścicielka. W handlu ukazują się coraz nowe gatunki serów, rywalizujące z zagranicznemi i wypierające je z naszych rynków zbytu, a pomiędzy fabrykantkami znajdują się nawet takie, którym na obcych wystawach medale przyznają.

W dziedzinie gospodarstwa i przemysłu nabiałowego, spotykamy niezaprzeczony postęp, postęp który z każdym rokiem wzrastać będzie, gdyż nic tak jak powodzenie nie zachęca do naśladowania. Toż samo widzimy w hodowli trzody chlewnej i drobiu. Na wystawie inwentarza w roku zeszłym w Warszawie, już kilkanaście gospodyń wystąpiło z pięknemi okazami: lincolnów, yorków i berkshir'ów, a dział drobiu aczkolwiek mniej licznie, jednak reprezentował się także pokaźnie.

Wszystkie wystawione okazy poprawnych rass kur, kaczek i gęsi zostały rozkupione i rozpowszechniły się już po kraju, a kroniki sprawozdawcze zaznaczyły nazwiska gospodyń zajmujących się hodowlą. Wystawiony przez czas jakiś w Warszawie sztuczny przyrząd do wylęgania drobiu, ściągał licznych widzów, pomiędzy którymi znajdowały się panie przybyłe z dalekiej nawet prowincyi, po to tylko, ażeby zapoznać się z zasadami sztucznej hodowli, i aby te właśnie zasady zastosować w praktyce. Aczkolwiek w mniejszym stopniu, przebudza się także wśród pań naszych zamiłowanie do ogrodnictwa; przebudza się—i zapewne wobec projektowanych wystaw, wobec działalności Towarzystwa ogrodniczego, rozwijać się będzie coraz bardziej. Rzeczywiście, jest-to korzystne, a przytem bardzo odpowiednie dla kobiety zajęcie i z czasem musi przyjść do tego, że panie wezmą się do niego z zamiłowaniem. Po za ogrodnictwem mamy jeszcze pszczelnictwo. Kto chce wiedzieć z jaką szybkością ten dział gospodarstwa rozwija się i wzrasta, niech przejrzy księgi warszawskiego Muzeum pszczelniczego i niech się dowie, kto słucha wykładów pszczelnictwa? Co rok uczęszcza tam kilkadziesiąt młodych osób, przeważnie z inteligencyi wiejskiej, a po wyuczeniu się pszczelnictwa teoretycznie i praktycznie, powraca na wieś i zakłada wzorowe pasieczki.

Fakt ten dowodzi wymownie, że kobiety nasze chcą i umieją pracować, a gdy im ułatwić poznanie pewnej gałęzi pracy, biorą się do niej natychmiast z zamiłowaniem, wytrwałością i gorliwością chwalebną.

Myliłby się ktoby sądził, że te kilka słów podyktował nam nieuzasadniony optymizm. Nie, my nie twierdzimy wcale, że w sferze tej zrobiono już wszystko co było do zrobienia; nie dowodzimy, że wszystkie gałęzie pracy dla inteligentnych ziemianek dostępne, są uprawiane wzorowo, nie dowódzimy tego, lecz zaznaczamy zwrot pocieszający. Opierając się na faktach, stwierdziliśmy, że w tej pracy początek już zrobiono, że usiłowania jednostek wydały pożądane owoce i że zachęcą do naśladowania ogół cały.

Kobiety nasze potrafią oszczędzać i pracować, bo skłania je do tego obowiązek, przekonanie, przywiązanie do rodziny i do ziemi rodzinnej. W sercach ich znajduje się to źródło ożywcze, które w niepowodzeniach podtrzymuje, w chwilach zwątpienia podnosi i umacnia, w codziennych troskach i zmartwieniach dodaje otuchy...

Niewątpimy też, że prowadzić one będą dalej rozpoczętą pracę, pomagać mężom i ojcom, a utrzymując przytem ład i oszczędność w gospodarstwie domowem, w którem panują wszechwładnie, przyczynią się w znacznym stopniu do wynalezienia skutecznego środka „na ciężkie czasy”.

RUINY SMOLENIA.

SONET.

Starych murów zwaliska spiętrzone na skale,
Zdobią w zieleń, wiekami pordzawione lica,
I jak idąca w tany wiejska krasawica,
Stroją się w barwne rąbki, wieńce i korale.

Jedna baszta szczerniałe ma czoło z żałoby,
Gardzi marną ozdobą w pancerzu boleści,
Duma gorzko o wiekach pełnych sławy, cześci,
I leje łzy kamienne na przeszłości groby.

Słucham bacznie drzew szumu, czy w gwarnej ich [fali,
Wojenny okrzyk wieków nie ozwie się echem,
I z okien poszczerbionych nie błyśnie twarz blada

Uroczej kasztelanki, co kwiatom się żali?
Cisza i tylko listki szeleszczą z uśmiechem
Z okien, kalina deszczem koralowym spada.

Wisława.

KLEMENS JANICKI.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

PRZEZ

Michała Jezierskiego.

(Dalszy ciąg.)

Pan Marycki wstał z krzesła i wziąwszy za rękę p. Elżbietę, zawołał:

— Ta chęć szlachetna czyni zaszczyt starościance. Wraz z tobą przyczynię się do wojewodziny i wojewody, aby gotowość moją stwierdzili swem zezwoleniem.

Janicki chciał równie wstać z krzesła, lecz nie mógł, odurzony niespodziewanem żądaniem starościanki, olśniony nadzieją zbliżenia się do niej, dostał drżenia i zawrotu głowy, które go przykuły do miejsca. Bellaroka gryzł aż do krwi palce i ze złośliwym uśmiechem rzekł:

— Wstrętny jest widok amazonek, wstrętniejszy kobiety w uczonym birecie. Dziecinne zachcenia p. starościanki, przez wojewodę a tem-bardziej przez wojewodzinę uwzględnione nie będą: nie wszystko jest dobrem, co się młodym zachciewa.

— Nikt pana o zdanie nie pyta — rzekła gniewnie p. Elżbieta.

— Nabytki naukowe nie są grzechem — słabym głosem wymówiła wojewodzina — prawdziwa mądrość zbliża do Boga.

— I czyni pożytek społeczeństwu i krajowi — dodał wojewoda. — Zarzut słuszny starościanki mnie nie boli, chcę się poprawić z mego zapomnienia i odtąd raczcie panowie udzielać jej żądane nauki.

Twarz Elżbiety zabłysła radością, Bellaroka zgrzytnął zębami, a oprzytomniawszy Janicki, ucałowawszy rękę wojewodziny, ścisnąwszy dłoń starościanki wyrzekł natchniony:

Jeżeli Jowisz z Olimpu górnego
Zstąpi na ziemię w gromadę podwładną,
Wszyscy, zaiste, wszystkie go odbiegną
I na kolana do modłów upadną.

Tak kiedy błyśniesz, rzucam wszelkie cele,
I wszystka żądza z mego serca znika;
Pod stopy twoje z pokorą się ścielę
I płacząc proszę łask dla zwolennika.

Niech mi odstąpi wszelki strach zdradziecki,
A gdy śmierć poda swój kielich zatruty,
Niechaj go spełnię, jak ów mędrzec grecki,
Co pił bez strachu puhar swej cykuty.

Myśl w tej improwizacyi była tak ukryta, iż jak wojewoda, tak i Elżbieta mogli ją wziąć do siebie, lecz oba serca zadrgały pod natchnieniem poety: Kmita uścisnął go serdecznie, a starościanka ze zwilżonem okiem dłoń mu swoją podała.

Bellaroka był zwyciężony, ale nie dał za wygranę.

Gdy przyszedł do siebie, padł na krzesło i siedział długo nieruchomy, lecz bladość twarzy, błyszczące oczy, zmarszczki przesuwające się po czole, ściśnięte usta, oznaczały, że przy nieruchomości ciała, burza wrzała w jego sercu. Ani rozum, ani rozwaga nie zdołały ją uciszyć, namiętność jak huragan nie zna oporu, leci bezmyślnie, niszcząc wszystko wkoło siebie. Miłość choć jest ślepą, skłania do ofiary. Namiętność dla ugaszenia żądzy cały świat poświęci, wszystko zdruzgocze i zbrodni się nieulęknie, byle kroplą rozkoszy ugasić pragnienie Tantala. Taka burza wrzała w piersiach Bellaroka. Nietrudno było mu odgadnąć, iż chęć do nauki starościanki, była tylko ułatwieniem codziennej legalnej schadzki, która bez świadków odtąd odbywać się będzie mogła. Gotów był dopuścić się zbrodni by temu przeszkodzić, lecz zbrodnia wywoływa karę, a tej tylko jednej się lękał. Długo się przechadzał po swej komnacie, czoło się trochę rozjaśniło, znać, że myśl nasunęła mu nowe środki, nadzieja nie zgasła. Dwie postacie stanęły mu w myśli: pan starosta Orzelski i pan Kalasanty Wydżga, umyślił do nich się zbliżyć i ich użyć do swoich celów. Zamknięty w sobie, chciał swoją żółć przed kimś wylać, a przed kim to najłatwiej uczynić, jak nie przed hetmanem? Siadł więc przy stole i pisać zaczął:

Dostojny i zacny hetmanie!

Siedzę w jaszczurczem gnieździe i słucham syku jadowitych żądeł, które chcą zranić twoją szlachetną i cnotliwą osobę; lecz twe piersi pokryte hetmańskim, żelaznym puklerzem, nie boją się ukąszenia gadu. Chcieliby tu przyćmić sławę twego oręża, wydrwiwając twój tytuł hrabiowski; mówią, że podkopywasz kardynalne prawo Rzeczypospolitej, że jesteś zagorzałym arystokratą i tym podobne obelgi codziennie muszę słuchać. Z czartami w piekle byłoby mi przyjemniej, ale dla twego dobra, dostojny hetmanie, znoszę wszystkie katusze, byle na twe względy zasłużyć. Coś się knuje tu tajemnie na dostojność twoją, przezacny hetmanie. Królowa Bona często szle gońce do wojewody, on wnet jej odpisuje; starałem się ułowić list choć jeden, jednak dotąd tego dopiąć nie mogłem. Królowa Bona coraz większy wpływ wywiera na umyśle starego króla, jej stronnicy coraz się mnożą. Skarb się wypróżnia, a szkatuły królowej przepełniają się złotem, ma więc w swym ręku *nervus rerum*, który jest sprężyną do przeprowadzenia obmyślanych celów. Gdy ja tu czuwam w Wiśniczu, niech dostojny hetman ma oko na dwór i tam-by warto mieć stałego agenta. Tu najwięcej podbudzają wojewodę przeciw hetmana: Klemens Janicki, chłop z urodzenia, który liznąwszy trochę nauki we Włoszech, odgrywa tu rolę jakby pochodził z dygnitarskiego rodu, pisze wierszydła i wszystkim bałamuci głowy. Dobrze by było, aby dostojny hetman coś o nim pomyślał i wyrwał język tej jadowitej żmii. Wojewodzina klepie pacierze i często zapada na zdrowiu. Jest tu mnóstwo dworaków, między nimi góruje Marycki, słowem jest to dom waryatów. Wojewoda przybiera rolę republikanina, lubi prawić o naukach, jak ciemny o kolorach. Wszyscy mimo swej nicości mają żądła nie języki, któremi ciągle kłują dostojnego hetmana, lecz przyjdzie pora w której osy i trutnie z ula wypędzimy. Piąty list wyprawiam, w następnym dłuższą zdam relacyą. Polecam się łaskawemu i wspaniałomyślnemu sercu i pamięci hetmana wielkiego-koronnego, ściele się pod jego stopy, najniższy i najwierniejszy sługa

Hrabia Aloizy Bellaroka.

Klasnął w dłonie i wszedł krępy, gruby chłopak lat dwudziestu mający, z rozczochranemi włosami, z ubraniem w nieładzie, czerwony jak burak. Stał, lecz musiał oprzeć się o krzesło, bo mu nogi nie służyły, widocznie przebrał miarkę, upił się choć głowę miał tęgą. U progu zaryczał jakby jakie zwierze i uśmiechać się zaczął. Hrabia Aloizy spojrzał gniewnie i dziwacznie składając palce, tupał ze złości nogami. Chłopak odpowiedział szybko wykręcając palcami. Taka rozmowa dość długo trwała, w końcu dawszy mu w kark, wypchnął za drzwi. Chłopak ów był od urodzenia głucho-niemy, wybrał go sobie Bellaroka w Tarnowie na służącego, wyuczył mimiki, pewny był jego dyskrecyi, iż nic nie podsłucha i z niczem się nie wygada, był więc dla niego najdogodniejszym sługą. Nie wiedział pan Aloizy, że mimo kalectwa, które go oddalać powinno od towarzystwa, Maciuś był hulaka, lubił tańce, swawolę z młodzieżą męzką i żeńską, pierwszym był zawsze do spełnienia jakiegoś figla. Zaprzyjaźnił się na dworze z Grzesiem pachołkiem Janickiego i odbywał z nim tak sprytnie nocne wycieczki z zamku, iż czujne nawet oko Wydżgi dostrzedz tej częstej emigracyi nie mogło. Przez ciągłe z sobą obcowanie, wyuczył Grzesia rozmowy na palcach, tak, że mogli z sobą najdokładniej rozmawiać. Obaj cisi, spokojni, posłuszni byli w zamku, ale zato wybiegłszy za mury, trząsł się cały Wiśnicz od ich krzyków, wrzawy a w austeryi dzwoniły okna od ich hołubców i śmiechu. Dziewczęta ginęły za nimi, bo je zawsze ugaszczali muzyką, tańcem i miodem. Maciuś z powodu swego kalectwa posiadał zupełne zaufanie hrabiego Bellaroka, a że kilka razy prędko z listami odbył podróż do Tarnowa i podejrzenia na siebie nie zwrócił, czekał tylko wytrzeźwienia Maćka, by go znów z pismem wysłać do hetmana.

Sam zaś dla zbadania Wydżgy, udał się do jego izby, nie chciał mu odrazu swych zamiarów objawić, lecz wprzódy żądał go sobie zjednać i przekonać się czy może użyć do swych planów. Gdyby wiedział o usposobieniu pana rotmistrza jakie miał dla niego, pewnoby się ze swemi odwiedzinami nie spieszył.

— Jak się ma zdrowieczko szanownego p. rotmistrza?

— *Saecula saeculorum* — odrzekł Wydżga — a przepraszam, myślałem, że pan hrabia jako katolik, pozdrowisz po chrześciańsku i zaczniesz od *Laudetur*, taki u nas obyczaj.

— U nas, p. rotmistrzu, zakonnicy tak się witają.

— Najprzód, p. hrabio nie jest-to powitanie, ale oddana cześć Bogu, a u nas szlachta, to zakon rycerski, zwykła więc wszystko poczynać od Boga.

Njepodobała się ta perora panu Bellaroce, lecz ukrył nieukontentowanie i rzekł:

— Tak wysoce cenię zasługi rotmistrza, iż troskliwość moja o jego szacowne zdrowie, była mi tylko na myśli; kto całe życie poświęcił na usługach kraju, ten w oczach moich równa się tytułowanym rodom.

— Spełniłem mój obowjązek, panie hrabio, a co do tytułów, choć one u nas są wstrętne, lecz temi co je noszą, nie pogardzam; gdyż i oni musieli być szlachtą, bo gminowi mniemam, że i zagranicą ich nie dają. A wreszcie kto tam wie, jak one się uzyskują, kto tam stwierdzić może. Przyjeżdża cudzoziemiec z za morza i mówi, że jest hrabią; dla mnie to jedno, gdyby się mienił, czy szewcem, czy krawcem, zapytam go tylko: czyś szlachcic, panie bracie.

I znów się skrzywił pan Aloizy, ale nie tracił nadziei, że pochlebstwami złapie za serce rotmistrza i rzekł:

— Ta krysa na czole jest najzaszczytniejszym dyplomatem szlachectwa.

— A tak, panie hrabio, u nas tylko krwią dobić się można szlachectwa, a tę krysę dostałem pod Orszą i gdyby książę Ostrogski posłuchał mojej rady, Smoleńsk dawno byłby zdobyty.

— Czy nie byłbyś tak łaskaw, p. rotmistrzu, opowiedzieć mi szczegóły tej sławnej bitwy, która uświetniła dzieje waszego kraju.

— Mości hrabio, nie jesteś żołnierzem, więc mego opowiadania niezrozumiesz, wąchałeś tylko pachnidła, a nie proch wojenny, na piersiach nosisz aksamit a nie zbroje, a pod tym aksamitem, Bóg wie, czy się kryje duch rycerski; wam śpiewać włoskie trele, stroić koperczaki, śmieszyć krotofilami, a nie łba nadstawiać i obryzgać się krwią nieprzyjaciela.

Kłamliwe oszczerstwo tak niezaboli, jak wypowiedziana prawda. Słowa rotmistrza ubodły hrabiego, chciał te cięcie odbić dowcipem, lecz się wstrzymał i rzekł:

— Pan rotmistrz jest zbyt surowy.

— Przywykłem, mości hrabio, mówić prawdę, czy na spowiedzi, czy na sejmie, czy przed naszym wojewodą. Bóg na to dał mowę, aby myśli nie chować jak w worku; podli tylko ukrywają ją w sercu, bo jej brzydotą pochlubić się niemogą, a tchórzostwo niepozwala odkryć czem są rzeczywiście. Nie włażę na kazalnicę, aby głosić słowo prawdy, lecz kto do mnie przychodzi i o nią pyta, mam za obowiązek potraktować tą gorzką potrawą.

Bellaroka wstrząsł się od gniewu, bo słowa rotmistrza widocznie do niego były zastosowane wstał i rzekł głosem drżącym od złości:

— Rotmistrz jest impertynentem.

— Wyznaję, mości hrabio, iż jestem za-szorstki, lecz wolę prawdę, jak ckliwe wasze komplementa. A jeślim obraził, proszę na rękę, na wezwanie za.

wsze gotowym stanąć z moją szerpentyną, rozprawić się możemy po szlachecku.

P. Aloizy niesklоniwszy się wyszedł i drzwi za sobą silnie zatrzasnął.

Przyszedłszy do siebie, rzucił się gniewny na sofę i rzekł:

— Ten gbur myśli, żem po to przyjechał do Polski, aby bić się z temi zawadyakami. Zdaje mu się, że mi równym. Swoboda ma swą dobrą stronę, ale dyabelnie jest przykra, trudno z nią się oswoić.

L i s t.

Panna starościanka była wzorem najpilniejszych uczenic, lekcye najregularniej się odbywały, ta tylko zachodziła różnica między dwoma wykładami, iż gdy dyalektyka Arystotelesa skrócała się o pół godziny, literatura włoska przeciągała się do dwóch godzin. Czas przepędzony z Janickim bez świadków, był dla p. Elżbiety ciągłym zachwytem, który unosił ją w te szczęśliwe krainy, gdzie się oddycha miłością, żyje się harmonią duchów i gdzie siłą atrakcyi dwa serca wcielają się w jedną istotę. Pan Klemens wyśpiewywał słowa zrozumiane przez ukochaną i przez chór aniołów, którzy hymnem kochać i uwielbiać umieją. Przez ich oczy błyskał gorący płomień ich serca, przez usta różane, ciepły wiosenny oddech muskał ich lica, na których rumieniec jak kwiat uczucia barwił twarze purpurową krasą. Miłość nadawała ten uszlachetniony wyraz, który ziemską naszą istotę podnosi do niebianów, bo siłą tego uczucia wszystko się w nas uduchawnia.

Choć świadków nie mieli, lecz ciągle musieli się mieć na baczności, gdyż od rozpoczęcia wykładów, pan Bellaroka przychodził z książką do przyległej komnaty i niby zajmował się czytaniem, lecz cała uwaga i słuch były zwrócone na podwoje, za któremi lekcye panny Elżbiety się odbywały, czasami nawet przez dziurkę od zamku, spostrzeżono błyszczące oko pana Aloizego.

Oburzało to pannę starościankę, gniewało pana Klemensa i to działanie na przekor, to dobijanie się przemocą o względy panny Elżbiety, coraz w zakochanych wzbudzało większy wstręt do hrabiego Bellaroka.

Pani wojewodzina go unikała, bo cierpieć niemogła pochlebstwa. Pan wojewoda słuchał go cierpliwie lecz obojętnie, najmniejszego wpływu na nim nie wywierał. Pan Wydżga obchodził się z nim szorstko, chciał go się pozbyć z zamku, raz się odważył zapytać wojewody:

— Czy długo u nas będzie gościć ten przybłęda?

— Czyż on ci zawadza? — odrzekł p. Kmita.

— Nie, wojewodo, lecz i śmiecie w komnacie nikomu zawadzać nie mogą, jednak je wymiatają.

— Lituję się nad nim, mój rotmistrzu, wykształcony, dobrego rodu, z ogładą i sprytem, a jednak bez przytułku we własnej ojczyźnie, na obcej ziemi musi szukać gościnności. Drzwi więc żaden Polak przed nim nie zamknie, umiemy szanować nieszczęścia, bo każda dola godna poszanowania a w życiu swojem musiał hrabia Bellaroka wiele przeboleć. A że los go przygnał do naszego zamku, niech więc spokojnie spożywa chleb, którego z łaski Bożej mamy poddostatkiem.

— Piękne to słowa, panie wojewodo, ale nie wiem czemu ten Włoszysko choć się skrapia pachnidłami, jednak wonności jego mi śmierdzą. Prawdziwie nieszczęśliwy nie wściubia nosa w cudze sprawy, jak to czyni hrabia Aloizy, nie płaszczy się każdemu, bo i ubóstwo ma swoją dumę.

— Mój rotmistrzu, przyjmujmy ludzi jakiemi są, lecz nie jakiemi być powinni. Ale przecież i hrabia dał dowód szlachetności, miał przytułek i wygody u mego zawziętego wuja, podły człowiek trzymałby się hetmańskiej klamki, lecz niemogąc znieść obelg na nas rzucanych, opuścił tarnowski zamek i przybył tam, gdzie wyobrażenia polityczne i moralne zgadzają się z jego zasadami. Proszę cię więc, rotmistrzu, cierp go, jeśli szanować niemożesz.

— Zapewne, wojewodo, że przy twym rozumie i złośliwi ludzie szkodzić nikomu niemogą, lecz ja bym tę zarażoną owcę wypędził z naszej obory. Twoja jednak wola, wojewodo, jest dla mnie rozkazem.

* * *

Hrabia Bellaroka gniewny siedział w swej komnacie, szarpany zazdrością przemyśliwał nad środkami zemszczenia się nad Janickim, jakieś czarne myśli przebiegały mu po czole; kto wie czy zazdrość nie pobudzała go do zbrodni, lecz chciał ją użyć w ostateczności, liczył jeszcze na hetmana, iż oskarżywszy go przed nim, cudzą ręką zdoła zgnieść rywala. Przywołał swego Maćka, któremu wręczył kilkanaście talarów z pakietem do hetmana, a że była spóźniona pora, nazajutrz o wschodzie słońca miał wyruszyć do Tarnowa. Ale noc była najniebezpieczniejszą dla Maćka, z przybliżającą się nocą iskrzyły mu się oczy, ożywiał się i pokusa do hulanki wzrastała. Czując kilkanaście talarów w kieszeni, pobiegł do Grzesia i zaprosił na pożegnanie do austeryi. Po drodze wstąpili do znajomych, sprowadzono muzykę i chodząc od chaty do chaty, werbowali dziewczęta zapraszając do tańca. Wkrótce austerya się napełniła i rozpoczęła się hulanka. Dziewczęta się śmiały i w tańcu przyśpiewywały, chłopcy silnie wywijali dziewuchami i niejeden całus spadł na ich rumiane lica. Ta wrzawa przeciągnęła się do północy, Maciek dobrze podchmielony, zapłaciwszy kilka talarów, chciał się przespać w austeryi, aby do dnia wyjechać do Tarnowa. Odprowadził go do izby Grzesio, rozmawiali z sobą na palcach; my tę rozmowę dla czytelników przyobleczemy w słowa:

— Hej, Maćku — rzekł Grzesio — znowu musimy się rozstać; smutno mi będzie za tobą, bez ciebie dla mnie wielki post się zaczyna, o hulankach ani myśléć. Ten przeklęty Włoszysko gdzie cię tak często posyła?

— Przed tobą, mój Grzesiu, nie mam tajemnicy, ale mnie nie zdradź, ani się domyślisz gdzie jadę.

— Czy zawsze w jedno miejsce, Maćku, powiedz dokąd? jak matkę kocham nikomu nie powiem.

— Do Tarnowa — rzekł Maciek.

— Jakto — zawołał Grześ zdziwiony. — Jak-to, do hetmana, to być niemoże, przecież wiesz, że nasz wojewoda w nieprzyjaźni z hetmanem, ty kłamiesz Maćku, to być niemoże.

Maćko z zanadrza wyjął pakiet i podsunąwszy pod oczy Grzesia, rzekł:

— Czytaj, niedowiarku.

Grześ nie był biegłym w czytaniu, z trudnością wyślabizował: *Illustrissimo Domino Comes Joannes Tarnowski* i t. d.

Grześ miał spryt wrodzony, czego nie znał umiał odgadnąć. Korespondencya Bellaroka z hetmanem, datowana z Wiśnicza, uderzyła go silnie. Z zamku lecące wiadomości do Tarnowa, były rzeczą tak nadzwyczajną, taką trwogą go napełniły, iż odrazu się wytrzeźwił i rzekł:

— Mój kochany Maćku, ty nie wiesz co z sobą nosisz, nie pojmujesz na co cię te Włoszysko naraża, to dyplom do gałęzi lub topora, możesz dyndać nogami, lub głowa ci z tołuba zlecieć może. Nie radzę ci puszczać się w podróż z tem pismem, zgubisz się z kretesem.

— Czy wiesz, Grzesiu, co to pismo zawiera?

— Nie wiem, Maćku, lecz się domyślam; porzuć tego Włocha bo on cię zgubi: ja wyrobię, że cię przyjmą do służby dworskiej, a jak mi to pismo oddasz, to sutą nagrodę otrzymasz.

— Ależ ja kilka już razy takie pisma nosiłem i nic mi się złego niestało.

— Do czasu dzban wodę nosi. Żal mi-by było, Maćku, widzieć cię na szubienicy. Posłuchaj przyjacielskiej rady, porzuć do dyabła Włocha a lepiej pańskiej klamki się trzymaj.

— Już o tem nieraz myślałem, Grzesiu; lecz co ja powiem hrabiemu, jak się przed nim pokażę, jaki dam powód, że nie jadę do Tarnowa.

— Przesiedź kilka dni w austeryi, masz kilkanaście talarów, wygodnie więc przeżyjesz. Potem hrabiemu się okażesz i powiesz, żeś z powrotem.

— Cóż z listem zrobimy, Grzesiu?

— Oddaj mi go, ja go spalę, przy sobie niebezpiecznie go trzymać, lub może oddam go memu panu: nad tem pomyślę.

— Czyż otrzymam jaką nagrodę, Grzesiu, za oddanie pisma?

— Daję ci słowo, Maćku, że nagroda sowita cię czeka i wejdziesz do służby wojewody. Daj mi ten list.

— Weź go sobie, by się nie nudzić kilka dni tu pohulam, a dasz mi wiedzieć, kiedy będę mógł pojawić się w zamku.

Grześ wziął pakiet, pożegnał kolegę, w znanem mu miejscu przelazł mur zamkowy i udał się do swej izdebki. Noc miał niespokojną, myśl co ma z pismem uczynić sen mu odpędzała. Wstawszy zrana, postanowił je oddać swemu panu. Wszedł do komnaty p. Janickiego, opowiedział mu wczorajsze odkrycie i wręczył list adresowany do hetmana Tarnowskiego. Pan Klemens rzekł:

— Coraz się bardziej przekonywam, Grzesiu, że masz rozum; wymagam od ciebie, abyś milczał o twojem odkryciu: gdy dochowasz tajemnicy, sowicie ty i Maciek będziecie wynagrodzeni.

Grzesio poprzysiągł milczenie, gdy odszedł pan Klemens z listem w ręku siedział zadumany; tysiące domysłów przebiegało mu po głowie; już chciał złamać pieczęć, gdy nagle się wstrzymał i rzekł do siebie:

— Trzeba się poradzić z p. Maryckim.

I wnet udał się do niego, trzymając list w ręku zawołał:

— Ważną tajemnicę wypadek nam odkrywa.

Wręczając pismo opieczętowane panu Szymonowi, opowiedział całą relacyę Grzesia. Marycki opatrywał list na wszystkie strony i rzekł:

— To rzecz dziwna, czuję, że pod tą pieczęcią jakieś łajdactwo się kryje.

— Nie ma się co namyślać — odrzekł p. Klemens — trzeba rozpieczętować pismo.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DYONIZA.

DRAMAT W CZTERECH AKTACH.

PRZEZ

ALEKSANDRA DUMASA (syna)

PRZEKŁAD

Bronisławy K.

(Dalszy ciąg.)

SCENA V.

Andrzej, Pani de Thauzette, później Fernand.

Andrzej. Pani dość powiedzieć słów kilka, aby każdego uczynić swoim niewolnikiem. Czy pani nigdy nie wyrzeknie się tej władzy zjednywania sobie życzliwości ludzkiej?

Pani de Thauzette. Prawda, że lubię mieć przyjaciół; lubię, aby wszędzie wyglądano mnie z upragnieniem, ale dajmy temu pokój, muszę z panem pomówić w bardzo ważnej kwestyi.

Andrzej. I dlatego przychodzisz pani w amazonce?

Pani de Thauzette. Ubrałam się zaraz po powrocie z kościoła, przez czas pobytu państwa Pontferrand. Panią tę widziałam dziś rano w kościele i zobaczę ją jeszcze wieczorem przy obiedzie, to dosyć jak na dzień jeden.

Andrzej. A! pani byłaś w kościele.

Pani de Thauzette. Wiesz pan, że bywam zawsze w niedzielę i święto.

Andrzej. I co tam pani robisz?

Pani de Thauzette. Jakto co robię? Modlę się.

Andrzej. I spowiadasz się pani?

Pani de Thauzette. Dwa razy do roku.

Andrzej. Raz w zimie, raz w lecie. I to pani wystarcza?

Pani de Thauzette, Najzupełniej, mianowicie teraz.

Andrzej. Wybacz pani, ale jestem pewny, że kiedyś staniesz się dewotką.

Pani de Thauzette. I to być może; cóż bowiem kobieta piękna niegdyś i światowa ma robić, gdy się podstarzeje? Naturalnie musi klepać pacierze.

Andrzej. O! pani nigdy się nie zestarzejesz!

Pani de Thauzette. Czasami i ja tak myślę, nie widzę bowiem w sobie żadnej zmiany; zdrowie służy mi wyśmienicie, mogę cały dzień uganiać się konno z chartami po polowaniu, lub tańczyć całą noc nie czując żadnego zmęczenia.

Andrzej. W uczuciach także nie ma żadnej zmiany, kochasz pani zawsze i któż jest teraz owym szczęśliwym wybrańcem?

Pani de Thauzette. Nikt. Wszystko to zalicza się już do przeszłości. Muszę najpierw ożenić Fernanda, a później, zobaczymy.

Andrzej. Czy pani tak bardzo kocha swego syna?

Pani de Thauzette. Czy ja go kocham, tego nicponia? On jest taki piękny, że zdaje mi się, iż nietylko ja, ale wszystkie kobiety powinny go uwielbiać.

Andrzej. Czy opowiada pani o swoich miłosnych awanturkach?

Pani de Thauzette. Żartujesz pan chyba? Nigdy w życiu nie mówimy o tem z sobą.

Andrzej. Doprawdy?

Pani de Thauzette. Mówię panu szczerą prawdę. Z obcymi ludźmi mogę rozprawiać o największych niedorzecznościach, ale z moim synem to zupełnie co innego. To co wiem o jego różnych awanturkach, wiem to od osób trzecich i nawet udaję, że nie domyślam się niczego. Zresztą zdaje mi się, że się teraz trochę ustatkował, ma już przecie dwadzieścia siedm lat, a ja niestety, czterdzieści sześć, wyznaję to szczerze; trudno to bowiem ukryć przed panem, który byłeś jego szkolnym kolegą.

Andrzej. Ja określę to inaczej: pani ma dwadzieścia trzy lat rano i dwadzieścia trzy wieczorem.

Pani de Thauzette. Dzięki za komplement... Ah! ten kapelusz ciśnie mnie w czoło... (Przegląda się.) Jak to zabawnie wygląda kobieta w męzkim kapeluszu! No, ale mówmy już o czemś poważniejszem.

Andrzej. Słucham pani.

Pani de Thauzette. Ale to o czem chcę mówić jest rzeczą wielkiej wagi; przyrzecz mi więc pan tajemnicę.

Andrzej. Jak najchętniej.

Pani de Thauzette. Słowo?

Andrzej. Słowo.

Pani de Thauzette. Osoby interesowane w tej kwestyi nie wiedzą nic zgoła, że ja o tem z panem mówić będę. Jeśli się nie porozumiemy, nie potrzebujemy uwiadamiać o tem nikogo.

Andrzej. Niech i tak będzie.

Pani de Thauzette. Czy chcesz wydać za mąż Martę?

Andrzej. Za kogo?

Pani de Thauzette. Za Fernanda.

Andrzej. Czy mnie pani pyta na seryo? Alež to niemożebne...

Pani de Thauzette. Z powodu?

Andrzej. Z powodu, że...

Pani de Thauzette. Cóż Fernand uczynił, aby zasłużyć na taką niełaskę?

Andrzej. O! różne są do tego powody!

Pani de Thauzette. Wymień pan choć jeden.

Andrzej. A pojedynek jego z panem de Fulvières?

Pani de Thauzette. Chciałżeś ażeby Fernand przyjął w milczeniu to co pan de Fulvières o nim mówił? Pan de Fulvières dostał doskonałe pchnięcie szpadą i dobrze mu tak, bo zasłużył na to!

Andrzej. A cóż mianowicie mówił pan de Fulvières?

Pani de Thauzette. Mówił, że Fernand ma rozmaite sposoby zarabiania pieniędzy; a to wszystko dlatego, że Fernand wygrał raz w karty znaczną sumę, od pana de Loriac.

Andrzej. Tak, wygrał wtedy pokaźną sumkę, okrągłe sto tysięcy franków. A miało to miejsce w osobnym gabineciku jednej z pierwszorzędnych restauracyi, gdzie obiadował sam na sam z panem de Loriac.

Pani de Thauzette. Pan de Loriac miał wolną wolę, grać lub nie grać.

Andrzej. Dodajmy, że grali bez świadków i że nazajutrz znaleziono wypróżnione dwie butelki koniaku, z których Fernand nie wypił ani kropli...

Pani de Thauzette. Zkąd pan wie o tem?

Andrzej. Wiem, bo Fernand nie pije nigdy.

Pani de Thauzette. To jedna więcej zaleta. Ofiarował przecież panu de Loriac prawo odwetu.

Andrzej. Tak, w pierwszej chwili zgodził się na nową grę, aby poszkodowanemu dać prawo odwetu, nazajutrz jednak odmówił, zastanowiwszy się, że lepiej zatrzymać to co wygrał aniżeli narażać się na stratę... Zygmunt nie odrzekł na to ani słówka i zapłacił dług w zupełności.

Pani de Thauzette. Jak było, tak było, ja to wiem tylko, że Fernand grał uczciwie.

Andrzej. I ja tak sądzę, gdybym był innego zdania, nie przyjmowałbym u siebie Fernanda. Ale to jednak nie zmienia faktu.

Pani de Thauzette. A jednak i ty sam nie potępiłeś tak bardzo Fernanda, skoro byłeś niejako poręczycielem jego honoru, służąc mu za świadka w tym pojedynku.

Andrzej. Wiesz pani dobrze dlaczego zgodziłem się na to. Uczyniłem to tylko jedynie dla ciebie. Kochałem cię niegdyś tak bardzo, że nie mogłem pozwolić na to, aby nazwisko twoje okryło się hańbą. Mogli ludzie pomawiać panią o lekkomyślność, ale nie powinni posądzać syna twego o czyn występny!

Pani de Thauzette. A więc kochałeś mnie pan rzeczywiście?

Andrzej. Kochałem cię szalenie, kochałem cię tak, jak się kocha mając lat dwadzieścia! Ale jakiż smutny i bolesny wpływ wywarłaś pani na całe moje życie! O! serce niełatwo zapomina pierwszego doznanego zawodu? Aby cię zapomnieć, rzuciłem się w wir zabaw i rozrywek wszelkiego rodzaju, z których dopiero wyrwał mnie Thouvenin.

Pani de Thauzette. I ja kochałam cię bardzo, ale to uczucie było dla mnie zawsze zabawką raczej niż rzeczą poważną. Pamiętam doskonale tę chwilę, gdy cię po raz pierwszy ujrzałam. Miałeś na sobie taki sam mundur jak Fernand i byłeś tak zabawnie śmieszny, z oczami wlepionemi z zachwytem w moją osobę. Nigdy nie zapomnę twoich niezgrabnych ruchów i nerwowego drżenia rąk, które machinalnie międy studencką czapeczkę. Ubiór także wiele pozostawiał do życzenia. Przytem byłeś sentymentalnym i ponurym jak elegia. Patrząc na ciebie, można było pęknąć ze śmiechu. Bo wiedz o tem, mój drogi, że kobietę trzydziestoletnią wabi jedynie miłość wesoła, trzpiotowata; ma ona dosyć powagi w domu. A teraz powiedz mi mój drogi, na co się skarżysz? Kochałeś i doznałeś zawodu? Albo to ty pierwszy, albo ostatni? Uczucia nasze, to coś jak owa miłość hrabiny do cherubinka, ale powiedz, czy takie wspomnienie nie ma powabu dla człowieka w twoim wieku? Hrabia także mile wspomina tego pięknego młodzieńca, którego serce po raz pierwszy żywiej dla niej uderzyło. Ja nie zawsze się śmiałam, nieraz dręczyłam cię bez miłosierdzia. Ale tem lepiej dla ciebie, bo uchroniło cię to od bardziej pospolitych i niebezpiecznych cierpień. Była to poprostu dziecinna igraszka, nic więcej. I dlatego teraz moglibyśmy się serdeczniejszym związać węzłem przez małżeństwo mojego syna z twoją siostrą. Co za śliczne zakończenie naszej sielanki! Teraz już jestem rozsądną osobą, mieszkałabym więc razem z tobą, Fernandem i moją synową i zajmowałabym się domowem gospodarstwem. Gdy z porządku rzeczy i ty-byś się ożenił, żona twoja nie miałaby zapewnie nic przeciwko temu, ażebym i nadal przy was mieszkała. Byłabym wzorową teściową, babką niezrównaną. Wychowywałabym całą czeredę dzieciaków Marty i twoich. Starzejąc się nie byłabym gderliwą, owszem zachowałabym o ile mnie się przynajmniej zdaje, świeżość umysłu i wdzięk w obejściu, jak owe damy z ośmnastego wieku. A że każdy wiek ma swoje przyjemności i ja byłabym zupełnie szczę-

śliwą. Niekiedy porozmawialibyśmy o przeszłości. No, cóż, zgadzasz się?

Andrzej. Nie!

Pani de Thauzette. To źle robisz, mój kochany. Ale jeśli te dzieci się kochają? Jeśli Marta koniecznie zechce pójść za Fernanda?

Andrzej. Czy to groźba?

Pani de Thauzette. Nie, to tylko przypuszczenie.

Andrzej. W takim razie Marta musiałaby czekać do pełnoletności, ażeby zaślubić Fernanda. Lecz ja zerwałbym wszelkie z nim stosunki, jakoteż z panią, która przyłożyłabyś się do tego dzieła. Teraz bowiem rozumiem co znaczyły twoje częste odwiedziny w klasztorze i spotęgowana przyjaźń dla mnie, od chwili gdy Marta tu powróciła.

Pani de Thauzette. Kiedyśmy już raz zaczęli, powinniśmy wyczerpać przedmiot do końca. Nie tak łatwo, mój kochany, przyjdzie ci siostrę wydać zamąż. Nie wiem jakiem okiem narzeczony i jego rodzina patrzéć będą na...

Andrzej. Na co?

Pani de Thauzette. Na twój stosunek względem panny Brissot.

Andrzej. Cóż to ma znaczyć?

Pani de Thauzette. To ma znaczyć, że jesteś jej kochankiem.

Andrzej. Ja, kochankiem panny Brissot! Któż to powiedział?

Pani de Thauzette. Wszyscy już o tem mówią. Ty sam swojem postępowaniem upoważniasz ich do tego. Gdy bowiem człowiek młody i bogaty wyrzeka się nagle świata i zamyka się na wsi, gdzie za całe towarzystwo ma tylko starego rządcę i jego młodą i ładną córkę, to nikt inaczej nie powie, jak tylko, że ów człowiek jest kochankiem tej dziewczyny. I cóżby to zresztą było tak nadzwyczajnego? Tembardziej...

Andrzej. Tembardziej...

Pani de Thauzette. Że nie jesteś pewno pierwszym.

Andrzej. A przecież to pani przedstawiła mi pannę Brissot; na tej to zasadzie zrobiłem ją towarzyszką mojej siostry, a dziś oskarżasz ją pani w tak szkaradny sposób? O! nie czyń tego. Upewniam pod słowem honoru, że stanowisko panny Brissot w moim domu nie może rzucić na nią ani cienia podejrzenia. A teraz powiedz mi pani, co wiesz o niej? (Chwyta ją za rękę.)

Pani de Thauzette. Powiedz, powiedz!... Ależ najpierw puść mi pan rękę, którą nawet dawnemi laty nie ściskałeś tak silnie. A więc to tak!... pokazuje się, że największy dla was wabik, to są oczki skromnie spuszczone i suknia zapięta pod szyję. Mój Boże, jak ci mężczyzni są głupi!... A teraz, powiem ci, mój panie, że ja bynajmniej nie polecałam ci panny Brissot ale tylko jej ojca, którego przedstawiłam ci jako zdolnego i uczciwego rządcę, a że ci się podobało wziąć do swego domu matkę i córkę, że pozwoliłeś się zawojować jednej a zakochać w drugiej, to już nie moja rzecz. Ale jeżeli chcesz, aby nie obmawiano panny Brissot, to do tego nie dojdziesz nigdy. Czy jest na świecie kobieta o której-by nie powiedziano coś złego? Co-to ludzie na mnie nie nagadali!

Andrzej. Ale pani...

Pani de Thauzette (śmiejąc się). Dziękuję.

Andrzej. Powiedz-że mi pani to co wiesz?

Pani de Thauzette. Ja nic nie wiem. Przypuszczam tylko, że taka dziewczyna, która miała zupełną wolność, która biegała po lekcyach i przysposabiała się do teatru, musiała już kiedyś uczuć żywsze bicie serca. Panna dwadzieścia trzy lat, to już nie dziecko. A teraz, bądź zdrów, muszę się spieszyć, bo mój koń się zniecierpliwi. Nie sądź że mam do ciebie jaką urazę; rozumiem to aż nadto dobrze, co to jest człowiek zakochany. Do widzenia, mój przyjacielu!...

SCENA VI.

Ciż sami i Fernand.

Fernand (wchodząc). Droga mamo, czekamy na ciebie. (Do Andrzeja.) Siostra cię prosi, abyś zobaczył czy dobrze siedzi na koniu. Brissot chce ażeby się przejechała wolno wokoło trawnika.

Andrzej. Idę natychmiast.

(Wychodzi.)

SCENA VII.

Fernand i Pani de Thauzette.

Fernand (do matki). A więc?

Pani de Thauzette. Oświadczyłam się w twojem imieniu.

Fernand. Czy urzędownie?

Pani de Thauzette. Nie i najlepiej zrobisz, gdy udasz, że o tem wcale nie wiesz; tylko się nie zdradź jakiem nieoględnem słówkiem.

Fernand. O! niech się mama o to nie boi!

Pani de Thauzette. Odmawia.

Fernand. Z powodu?

Pani de Thauzette. Z powodu tej historyi z panem de Loriac.

Fernand. Tylko?...

Pani de Thauzette. Zdaje się, że i tego dosyć. Ale powiem ci nowinę: Andrzej się kocha.

Fernand. W Dyonizie.

Pani de Thauzette. A ty skąd to wiesz?

Fernand. O! przecież to widoczne; nie trzeba mieć wielkiej przenikliwości, aby się tego domyśléć. To ślicznie!... On ożeni się z Dyonizą, a ja z Martą i wszyscy będziemy zadowolnieni. A teraz, jedźmy już mamo!

Pani de Thauzette. Jedźmy!

(Wychodzą a raczej wybiegają oboje.)

KONIEC AKTU I-go.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

SPRAWOZDANIA TEATRALNE.

Bilecik miłosny. — Uwięziona. — Hrabia rejent.

Teatr Rozmaitości w ciągu dni kilku, dał nam aż trzy nowe, oryginalne sztuki, wszystkie wprawdzie jednoaktowe, ale zawsze trzy, co tem-bardziej na uwagę zasługuje, iż zbyt rzadko sztuki oryginalne pojawiają się teraz. Pierwszą z nich była drobnostka sceniczna, jak słusznie sam autor ją nazwał, nosząca tytuł: „Bilecik miłosny", Michała Bałuckiego. Zapewne, że to drobnostka nie mająca istotnej treści, intrygi żadnej, to na co francuzi osobną wymyślili nezwę: *une bluette*, ale jakże wdzięcznie napisana, z jaką swobodą i lekkością, jak mile się słucha, jakie wzbudza zajęcie, pomimo braku intrygi. Rzecz sama niezmiernie prosta: młode małżeństwo kochające się, pędzi życie swobodne i szczęśliwe, ale pani, zbyt młodej i niewiedzącej o tem, że wszelkie próby miłosne są niebezpieczne, a mężczyzn na pokusy narażać nie należy, aby doświadczyć wierności męża, wystawia go na taką próbę, dyktując swej pannie służącej liścik od jakiejś nieznajomej damy, która wzywa go na schadzkę w ogrodzie Strzeleckim, (rzecz dzieje się we Lwowie). Mąż otrzymawszy gorąco napisany bilecik, długo się waha pomiędzy miłością dla żony, należną jej wiernością, a urokiem owocu zakazanego, podszeptami mile połechtanej miłości własnej i silnie obudzoną ciekawością. Waha się długo i niewiadomo na jaką stronę przechyliłaby się szala, gdyby nie wpadł jak bomba przyjaciel szkolny, młody i lekkomyślny chłopiec, na wsi mieszkający, a uciekający przed ułożonem dla niego przez rodzinę małżeństwem. Ucieka więc do miasta ze szczerą chęcią pohulania, a nie mając w niem takich stosunków, udaje się do dawnego kolegi z prośbą, aby mu dopomógł. Lecz w ciągu opowiadania przypomina sobie, że przyjaciel niedawno się ożenił i musiał zerwać z lekkiem, kawalerskiem życiem.

— Zapewne — odpowiada tenże — ale to samo się przypomina i ciągnie, intryżki miłosne same się narzucają,

— To być nie może! — wykrzykuje przyjaciel.

— Przeczytaj ten liścik, który tylko co otrzymałem i niezawodnie od jakiejś dystyngowanej kobiety, znać to po stylu.

— Ależ nie pójdziesz na schadzkę, iść na nią nie możesz, wierność małżeńska rzecz święta. Pójdę w twojej osobie, tylko mi nie przeszkódź.

I szalony chłopiec wybiega uszczęśliwiony, a pan mąż wychodzi też za jakimś interesem. Tymczasem żona ze swojej strony wybiera się na oznaczoną schadzkę, przekonana, że mąż już tam poszedł i uzbrojona w szpicrutę, (kobieta dzisiejsza samopomocy hołdująca). Męża nie znajduje, a jego zastępca ujęty wdziękami nieznajomej, stawszy się natarczywym, zostaje wcale nie na żarty obity szpicrutą. Pani wraca do domu, zastaje męża, żałuje próby na jaką chciała go wystawić i opowiada całe przejście. Mąż parska homerycznym śmiechem na myśl o przygodzie przyjaciela, który zjawia się w tej chwili, poznaje kapelusz pięknej nieznajomej i uzbrojonej w szpicrutę, a gdy za nadejściem pani wszystko się wyjaśnia, poprzysięga wrócić natychmiast na wieś i jak najprędzej się ożenić, nie chcąc więcej próbować miłosnych awanturek. Rzecz cała z wielkiem życiem i zręcznością napisana, była też znakomicie przez naszych artystów: pannę Czakównę, pp. Tatarkiewicza i Wolskiego odegraną.

Druga jednoaktówka: „Uwięziona", pani Zofii Mellerowej, jakkolwiek jest komedyą lekką, lecz poważniejsze ma już założenie: walkę prawdziwego uczucia z obrażoną godnością kobiecą. Para narzeczonych: Juljusz i Wila, szczerze się kocha, ale Wila bardzo żywego charakteru i trochę kokietka, nieraz rozbudza do najwyższego stopnia wrodzoną zazdrość Juljuszaa. Wtem przyjeżdża młody sąsiad Żelski, posądzony przez Juljusza o kochanie się w Wili; aby coś w stroju poprawić, Wila wybiega do drugiego pokoju, tam ją na klucz narzeczony zamyka i trzyma, dopóki sąsiad nie odjechał. Obrażona Wila pierścionek odsyła Juliuszowi, a sama ucieka do brata w Warszawie z żoną mieszkającego. Juliusz zrozpaczony za nią pospiesza, ale ta widzieć go nie chce i pomimo nalegań braterstwa uparcie trwa przy swem postanowieniu. Juliusz do nich się zwraca błagając o pomoc i ci doradzają mu okazywanie obo-

jętności, ale utrzymanie się w tej roli z trudnością przychodzi, zwłaszcza na widok Wili, rozmyślnie kokietującej młodego kuzynka, rzeźbiarza, tak że gwałtem od namiętnego wybuchu wstrzymywać go muszą. Juliusz wreszcie znika ostatecznie odprawiony, lecz serce odzyskuje swe prawa, młoda dziewczyna na wieść, iż z rozpaczy w niebezpieczną zapadł chorobę, mdleje, a przyszedłszy do siebie i widząc u swych nóg klęczącego młodzieńca, o wszystkiem zapomina.

Sztuka zatem znajduje zupełnie naturalne rozwiązanie i publiczność zadowolniona rzęsiste bije brawa; sekret wartości jej i powodzenia w tem spoczywa, że cała na wskroś jest przesiąkła prawdą życiową, że wszystkie charaktery ze ścisłą konsekwencyą przeprowadzone. Dodajmy do tego zręczne, dowcipne i eleganckie obrobienie, znajomość sceny i tę cechę talentu jaką noszą utwory dramatyczne pani Mellerowej, a nabierzemy z łatwością przekonania, że równie jak „Bilecik miłosny", „Uwięziona" wzbogaci repertuar Teatru Rozmaitości i zawsze z przyjemnością widzianą będzie.

Gra wszystkich artystów była niezmiernie staranną, całość wyszła wybornie, wyróżnić wszakże należy grę panny Marcelo, która z wyraźnem zamiłowaniem i wielkim talentem obmyślała i opracowała trudną lecz wdzięczną rolę Wili, prawdziwie po mistrzowsku cieniując najdrobniejsze uczucia, które w jej położeniu, przez serce młodej dziewczyny, tłumnie przebiegać muszą. Panna Marcelo zdobyła niezaprzeczone prawo zaliczyć rolę Wili do bogatego zbioru swych artystycznych kreacyi. Sprawiedliwość każe nam wspomnieć jeszcze i o pani Borkowskiej, w roli Marty, sługi za panienką w pogoń przez ciotkę ze wsi wysłaną i opowiadającą na swój sposób scenę desperacyi Juliusza i jego *syrcowej* choroby, co oddała znakomicie ku wielkiej uciesze publiczności.

To cośmy powiedzieli o dwóch poprzedzających nowościach, na nieszczęście rzec nie możemy o trzeciej; o ile pierwsze są z życia powszedniego z całą prawdą schwycone i konsekwentnie rozwinięte, o tyle „Hrabia rejent", pierwszy utwór sceniczny, z którym występuje na deskach teatralnych panna Aniela Tripplinówna, znana i słusznie ceniona fejletonistka, jest nagromadzeniem nieprawdopodobieństw, oklepanych komunałów, osób niewiedzieć po co na scenie się kręcących. Treść tej komedyi dość dziwna. Po długiej wędrówce na obczyźnie, hrabia Rostkowski wraca do kraju i zastaje swój majątek zupełnie zrujnowany. Ma żonę z arystokratycznego domu, syna i córkę; lecz że to człowiek energiczny i wolny od kastowych przesądów, dla zapewnienia bytu rodzinie i odzyskania majątku, bierze się do pracy i zostaje rejentem. Dobrze mu się wiedzie, syna i córkę wychowuje według swych myśli, syn zostaje lekarzem, a córka ma właśnie wychodzić za mąż za młodego inżyniera, którego kocha. W ciągu tych lat kilkunastu bruździą mu jednak i przeszkadzają otaczające go kobiety, głównie: żona, zkądinąd najzacniejsza i bardzo kochająca; siostra, stara panna, która wszystkim konkurentom odmawiała swej ręki, gdyż nie byli dość dobrze dla niej urodzeni, i kuzynka, księżna Izabela, do szpiku kości przesiąkła arystokracyą. Zmuszony walczyć z ich arystokratycznemi przesądami, wynajduje sposób i na to: udaje chorego, któremu wszelka przeciwność i wzruszenie atak apoplektyczny sprowadzają. Ataki te tak dobrze są udawane, że lekarz domowy, bynajmniej w podejście niewtajemniczony, od lat kilkunastu miksturami go poi i pijawkami obstawia, nie domyślając się, że leczy zupełnie zdrowego człowieka. Zabawne jest zaiste wyobrażenie o medycynie, bo doktor na scenę wprowadzony, należy nawet do najbardziej wziętych w mieście.

Kurtyna się podnosi w chwili, gdy państwo młodzi mają jechać do ślubu. Żona w czułościach swoich niezmiernie nudna i przesadna, poradziwszy się doktora, wbrew prośbom córki, pragnie oświadczyć mężowi, że życzy sobie odłożenia ślubu na czas nieograniczony. Mąż ucieka się do swego uniwersalnego środka, dostaje ataku apopleksyi, trzeźwią go, ratują, doktor konstatuje stan niebezpieczny; lecz chory wnet przychodzi do siebie i wszyscy jadą do kościoła, oprócz hrabianki Tekli, która niewiadomo z jakiego powodu nie należy do weselnego orszaku siostrzenicy, zapewne dla przyjęcia śmiesznego marszałka, umyślnie na ślub przybywającego ze Żmudzi. Pzybysz wchodzi do salonu w ceglastym pudermantlu, idzie do pokoju hrabiego, aby się przebrać i tam wydaje straszliwe krzyki, gdyż pijawki dla chronicznego apoplektyka zawsze pod ręką będące, samopas łażąc po pokoju, opadły go bardzo niegrzecznie. Skąsany, wychodzi jednak we fraku, aby wypowiedzieć hrabiance Tekli, że źle zrobiła nie wychodząc za mąż, bo kobieta jest jako bluszcz, który potrzebuje około dębu się obwinąć. I na tem kończy się jego rola. Przepraszam, nie kończy się jeszcze, gdyż państwo młodzi wracają ze ślubu, a pan marszałek wypija kieliszek szampana za ich zdrowie, a drugi za zdrowie obrzydliwego żyda lichwiarza, który nie wiedzieć po co na scenie się kręci. Na cześć jego kielich wnosi hrabia rejent, chyba dlatego, że jego żonie cichaczem pożyczał pieniądze na 10 procent na miesiąc. Potem tenże hrabia objawia zgromadzonym tajemnicę swego postępowania i używanego tak skutecznie fortelu, żona mdleje, doktor wystrychnięty na dudka ucieka, a hrabia pije zdrowie kobiet polskich. Bardzo dobrze, nikt nie odmówi spełnienia toastu tak miłego, ale czem usprawiedliwia go sztuka, to pozostaje tajemnicą Autorki.

Pomimo jednak wybornej gry pana Leszczyńskiego, pani Niewiarowskiej i pani Ostrowskiej, pomimo iż utalentowani artyści: jak pan Prażmowski i pan Wolski, przyjęli na siebie nic nie znaczące role, co zresztą bardzo godne pochwały, pomimo, że panna Czakówna ślicznie wygląda z oczkami spuszczonemi w stroju panny młodej, nie przypuszczamy, aby sztuka ta długie na scenie rokowała życie. Skończy ona je prędko i to nie na apopleksyą ale niedokrwistość czyli nudotę niepodobną niczem do pokonania.

Hieronim Kuczalski.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Maja 1885 roku.

Karnawał paryzki rozpoczęty od Wielkiej nocy, trwa w najlepsze i nie skończy się prędzej, jak w drugiej połowie czerwca. Pomimo smutnych wieści dobiegających z Chin i Tonkinu, bale i wieczory tańcujące powtarzają się codzień. Pola Elizejskie błyszczą, przepełnione strojnym tłumem; wyścigi konne i wystawy sztuk pięknych, przyciągają mnóstwo osób, goniących za wrażeniami i nowością. Ruch na bulwarach ogromny. Modny świat, powróciwszy z Nicei, z Cannes i innych wybrzeży morza Śródziemnego, cieszy się chwilowo Paryżem, zanim go letnie skwary popędzą na normandzkie brzegi oceanu.

Pomijamy stroje balowe, których wiele widzieć można po magazynach, a zajmą nas głównie wiosenne ubrania, tak suknie jak mantylki. W kroju sukien, wielka panuje dziś prostota, jakiej od dawna nie widziano. Cały wdzięk sukni lub kostumu, polega na udatnej robocie i na umiejętnem połączeniu kolorów lub materyałów, aby utworzyć miłą dla oka całość.

Najmodniejsze dziś tkaniny wełniane: etamina, kanwa, wual i letni kaszmir, łączą się zazwyczaj z odpowiednią tkaniną w pasy, w przerabiany deseń, lub z materyą jedwabną. Do najwięcej używanych kolorów należą wszystkie odcienia drzewne, od ciemnego *loutre* do jasno niewarowego; jak również wszelkie odcienia zielone: jaszczurkowy, piołunowy, mchowy i malahitowy. Często też widzieć się daje kolor niebieski, przymglony, zwany *azulite* i ponsowy w rozmaitych odcieniach.

Miesiąc temu, oglądaliśmy modele ładnych sukien, kostumów i okrywek letnich, nabytych przez magazyn pań Kuhnke. Niektóre z tych były ztąd prosto wyprawione do Odessy. Dajemy tu szczegółowy ich opis:

Pierwsza suknia czarna koronkowa; spódniczka do niej jedwabna koloru jasno mchowego, z szerokim u dołu obrębem, z przodu płaska, z tyłu mocno namarszczona. Na to spódnica koronkowa, zakończona u dołu w zęby. W tyle spada szarfa z szerokiej wstążki morowej, w kolorze mchowym. Stanik niezbyt długi, z materyi powleczonej koronką, otwarty z przodu, na kamizelce z mory mchowej. Rękawy podbite materyą, ujęte u ręki w pasek z czarnego aksamitu. Kołnierz stojący aksamitny czarny, spięty z boku bukiecikiem z pączków róży mchowej. Dla ubrania głowy, przygotowana odpowiednia egretka.

Druga suknia z etaminy wełnianej koloru wydrowego *loutre*. Spódnica przerabiana w jasne pasy drzewnego odcienia, zakończona obrębem, rzęsisto marszczona w tyle. Na to spada szeroki i długi fartuch, z gładkiej etaminy ciemnej, podniesiony po bokach i odkrywający spódnicę. Z tyłu upięta, szeroka szarfa ze wstążki matowej *loutre*. Stanik gładki, ciemny, spięty na rząd złotych guziczków, zakończony w ząb tak z przodu jak i w tyle, objęty plisą aksamitną tegoż koloru. Rękawy proste, przymarszczone z ciemnej etaminy, z pod spodu ukazują się drugie w pasy, ujęte w aksamitny mankiecik. Na wierzch idzie westka, zwana *Florian*, z gładkiej materyi wydrowej, otwarta na przodzie, spięta na trzy guziki, z wyłogami aksamitnemi. Do tego ładnego kostumu przygotowany kapelusik z etaminy w pasy na tle wydrowem *Teodora*, jaki opisaliśmy w przeszłej korespondencyi.

Trzecia suknia z gładkiej kanwy koloru drzewnego *bois*. Na fałszywej spódnicy, nagarniorowany wolant z materyi *faille*, w ciemniejszym odcieniu, szeroki na ćwierć łokcia. Na to spada krótsza spódniczka kanwowa, wycięta u dołu w zęby, z przodu lekko przymarszczona, w tyle mocno nafałdowana. Od przodu do boków przechodzi nakrzyż mała draperya. Stanik z niewielką baskiną, spięty z przodu na guziki, w szczególny sposób: to jest wyższa jego połowa, spina się po prawej, niższa po lewej stronie. W tyle z pod baskiny, spada wielka kokarda z wstążki *ottomane*, w ciem-

niejszem odcieniu, złożona z czterech pukli i czterech końców. Kołnierzyk stojący aksamitny, tegoż koloru, zapięty z boku na rozetkę *chou* z ciemnej wstążki; dwie takież rozetki, naszyte poniżej w odstępach.

Czwarty kostum skromny, ale bardzo gustowny, złożony z lekkiego kaszmiru granatowego i *szyrtyngu* (bawełnianej tkaniny), w poprzeczne pasy ponsowe. Spódnica z szyrtyngu, na to idzie kaszmirowa tunika, podniesiona po bokach, z rzęsistym pufem w tyle. Żakiecik do tego kaszmirowy, przybrany klapkami z szyrtyngu w pasy ponsowe, takiż stojący kołnierz, mankiety i karoczko przyfałdowane w wachlarz. Ładny to kostum, na rano do wód, lub do wiejskiego ubrania. Wybornie go dopełnia kapelusik okrągły ze słomy granatowej, przybrany gazą tegoż koloru i skrzydełkiem ponsowym.

Powiedzmy jeszcze o mantylach i okrywkach w nowym zupełnie rodzaju.

Mantyla *Adelina*, z koronki wełnianej i kaszmiru czarnego, w tyle ma formę kaftanika z karoczkiem. Rękawy okrągłe, przymarszczone u góry, zachodzą do przodu jak pelerynka, z pod nich wybiegają długie końce. Cała okrywka z koronki wełnianej, podbita materyą czarną, ma szeroki obręb z kaszmiru; brzegiem nagarnirowany wolant koronkowy. U szyi spięcie z dżetu.

Druga mantyla *Dinorah*, z kaszmiru, podobna formą do poprzedniej, ogarnirowana dwoma wolantami z koronki *Lama*. Końce u przodu niezbyt długie, zakończone frendzlą sznelową z dżetem.

Trzecia okrywka *Napolitaine*, z tkaniny wełnianej czarnej, przerabianej w deseń, długa z przodu, w tyle podcięta, ozdobiona rzęsistym puffem blondynowym. Wkoło idzie dwa razy blondyna, przytwierdzona w górze pasmanteryą dżetową. U szyi rusza z blondyny i takaż barbka do przewiązania.

Czwarta mantyla Teodora w formie szalika, cała zahaftowana dżetem w motyle, objęta frendzlą sznelową, a powyżej nagarnirowana dwoma wolantami z gipury hiszpańskiej. U szyi rzęsisto rusza.

W pośród letnich materyi jedwabnych, zwróciły uwagę naszą, mienione, w dwóch odmiennych kolorach, np. zielonym i miedzianym, złotym i wydrowym, blado niebieskim i blado różowym. Suknia składa się zwykle z dwóch materyi: jednej gładkiej mienionej *faille*, drugiej znów przerabianej w niewielki deseń, w tychże dwóch kolorach. Do strojniejszego ubrania kolor niebieski mieniony z różowym powszechnie używany. Szarfa różowa ze wstążki matowej *gros grin* lub *ottomane*, dopełnia tego świeżego ubrania.

W parasolikach tegorocznych wielką spostrzegamy rozmaitość. Oto kilka najmodniejszych, jakie zwróciły uwagę naszą na wystawie wiosennej.

Gazowy w odcieniu śmietankowym, zahaftowany w pęczki sznelą ponsową: frendzla u niego jedwabna śmietankowa, rączka z drzewa bogato rzeźbionego.

Drugi parasolik, pokryty tiulem w deseń, przezroczysty, bez podbicia. W miejscu gdzie idą fiszbiny, przechodzi tiul gładki, nafałdowany w podłuż, wkoło falbanka koronkowa, rączka z drzewa naturalnego przewiązana kokardą.

Trzeci czarny, atłasowy, podbity marseliną jasno mchowego koloru, ogarnirowany czarnym koronkowym wolantem, powyżej idzie szlak, wyszyty sznelą mchową, rączka czarna z kokardą tegoż koloru.

Czwarty z materyi w guście wschodnim, podbity różową koronką — wolant z koronki oliwkowej, odpowiedni do tła materyi. Rączka z kości rzeźbionej.

Rękawiczki duńskie przyjęte powszechnie, tak do wielkiego jak do codziennego ubrania, różnią się tylko odcieniem jasnym lub ciemnym. Do białych sukien balowych, noszą białe ze skórki duńskiej.

Włosy zaczesane wysoko, ułożone na wierzchu głowy w ósemkę lub pukielki, przepinają szpilkami w rozmaitym rodzaju. Dla blondynek najwłaściwsze szpilki dżetowe, dla brunetek zaś jasne szyldkretowe w bursztynowym odcieniu. Używają też wiele małych grzebieni z fantastyczną ławeczką do przytrzymania włosów.

Miejsce bucików zastępują na lato trzewiki głębokie, ze skórki kozłowej, przybrane kokardą i klamerką stalową. Pończoszki powinny być zastosowane do sukni.

S. D.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **Szkodliwe książki.** Zwracamy uwagę na rozpowszechniające się coraz bardziej tanie a nader szkodliwe i niemoralne książki dla ludu. Wydawcy tych śmieci, przynoszących wstyd nieocenionemu wynalazkowi Gutenberga, nie szczędzą starań, aby szkodliwe i niemoralne książki, za pośrednictwem wędrownych kramarzy i przekupniów rozpowszechniać.

Jest obowiązkiem każdego, miłującego kraj swój obywatela, ostrzegać ubogszych duchem braci, iżby się na tego rodzaju wędkę brać nie dawali i nie kupowali za krwawo w pocie czoła zapracowane pieniądze, najzjadliwszej trucizny, bo trucizny moralnej, rozpalającej wyobraźnię, podkopującej uczciwe zasady w człowieku. Wszelkie apologie zbrodni i wystawianie zbrodniarzy jako bohaterów, a tej treści są prawie wszystkie książki o których mówimy, są najszkodliwszym jadem dla prostego, wrażliwego umysłu, niemającego w sobie dość siły krytycznej do odróżnienia plewy od ziarna.

Każdy inteligentny człowiek powinien dołożyć wszelkich starań, aby te brudy i męty, przyswajane z obcych języków, nie przenikały do chat naszych wieśniaków i nie zatruwały ich atmosfery moralnej. Natomiast popierać należy wydawnictwa z tendencyi, pożytecznej, uczciwej, których na szczęście coraz więcej ukazuje się teraz na półkach księgarskich.

Mamy nadzieję, że to ostrzeżenie przed spekulacyą nikczemną i zachęta do popierania uczciwej pracy, nie przejdzie bezskutecznie i że zwróci uwagę sfer inteligentnych na niebezpieczeństwo jakie wynika z popularyzowania wśród ludu, bezecnych, na gruby obliczonych efekt, awantur kryminalnej treści.

Nie wszystko co z obczyzny przychodzi jest dobrem.

*** **Pomnik dla ś. p. biskupa Wnorowskiego.** Mieszkańcy miasta Lublina i okolicy, bogaci i biedni, wnoszą składki na pomnik grobowy dla swego nieodżałowanego Pasterza.

Pomnik ten, a raczej piękna kaplica, stanąć ma na cichym, cienistym (a nawiasem powiedziawszy, pięknie utrzymanym) cmentarzu lubelskim — i świadczyć przyszłym pokoleniom, że prawdziwa zasługa i cnota zawsze znaleźć musi uznanie.

Pomnik ten będzie też pięknem świadectwem dla Lublinian, że umieli godnie uczcić zalety swego Pasterza, którego z wyroków Opatrzności utracili tak wcześnie.

Przy tej sposobności musimy też podnieść projekt rzucony przez jedno z pism warszawskch, a mianowicie projekt utworzenia stypendyum imienia ś. p. Biskupa Wnorowskiego, dla młodzieńca sposobiącego się do stanu duchownego w seminaryum lubelskiem.

Ś. p. ksiądz Wnorowski kochał naukę i kochał uczącą się młodzież, stypendyum więc byłoby najodpowiedniejszym sposobem uczczenia jego pamięci.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Jeszcze mają ludzie pieniądze.** W Liworno, w kolonii kupców greckich bawią się po pańsku. Na balu wydanym przez pewnego arcy-bogatego kupca, uprzejmy gospodarz urządził gościom upominki nader kosztowne. Panie otrzymywały bransolety i brosze, panowie zaś śpilki szczerozłote wysadzane kosztownemi kamieniami.

Kiedy rozpoczęto kotyliona, do sali wpadł i biegał wśród tańczących, Craty, tresowany osieł, objuczony koszami pełnemi bukietów z kamelii i róż, bukiety powiązane były wstęgami atłasowemi, których barwy zastosowane były ściśle do koloru tualet pań znajdujących się na balu.

Nie potrzeba dodawać, że urządzenie salonu, wystawność przyjęcia etc., odznaczały się również bogactwem i przepychem.

Pomimowoli nasuwa się przytem refleksya, jaką pożyteczną szkołę dla ubogich dzieci można-by założyć z pieniędzy, które na ową zabawę wydano!?

OD REDAKCYI.

Na żądanie pana Alberta Wilczyńskiego zawiadamiamy nasze Czytelniczki, że Pogadanki ze Lwowa pomieszczane w Tygodniku, nie są przez niego pisane, ale przez inną zupełnie osobę, pragnącą do pewnego czasu nie podpisywać się swojem nazwiskiem. W błąd ten zostaliśmy wprowadzeni, przez osobę oddającą rękopism, która nie wiedząc kto właściwie jest autorem, a zapytana o jego nazwisko, bez żadnej złej myśli wymieniła Autora „Kłopotów starego komendanta”.

☞ **Tom trzeci pism Alberta Wilczyńskiego, już wyszedł i obejmuje dokończenie**

„Kłopotów Starego Komendanta”.

oraz

OBRAZKI I SZKICE:

Dwa bale. — Gawęda podsłuchana. — Coś. — Najnowsze swaty.

Wydawnictwo to, redakcya przeznaczyła na **premium nadzwyczajne** dla swoich prenumeratorów, obniżając dla nich cenę do minimum, bo do połowy ceny księgarskiej.

Cena prenumeracyjna pism Alberta Wilczyńskiego:

Dla prenumeratorów „Tygodnika Mód i Powieści” *w Warszawie:*

za tom kop. **60**; za tomów 12 rs. **7** k. **20**

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:

za tom kop. **70**; za tomów 12 rs. **8** k. **40**

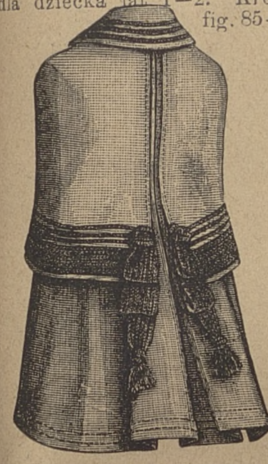
Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Widok Nr 3.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Апрѣля 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 20.



N. 1—2. Sukieneczka z kołnierzowem przybraniem dla dziecka lat 1—2. Krój na arkuszu N. XVI, fig. 85—89.



N. 6. Płaszczyk z pelerynką. Patrz ryc. 21. Krój na arkuszu N. XV, fig. 80—84.

Opis do N-ru 19.

N. 1—2. Sukieneczka z kołnierzem, dla dziecka lat 1—2. Krój na arkuszu N. XVI, fig. 85—89.

Biały kaszmir ze szlaczkiem kolorowym, haftowanym w maszynie lub deseniowy voille z koronką 5 c. szeroką, stanowi materyał na sukienkę dla dziecka, przedstawioną z przodu i z tyłu na ryc. 1—2. Krając przody z materyału zwierzchniego podług fig. 85, przy brzegu przednim naddaje się 8 cent., które marszczy się ściśle, u góry i u dołu; plecy, fig. 87, są również rozszerzone o 8 cent. i zmarszczone; boczki dają się gładkie podług fig. 86. Przy zmarszczeniu pleców z boku przyszyte są dwie połowy paska 3 cent. szerokiego, zapiętego z przodu agrafką. Kołnierz fig. 89 zaczyna się pod szyją z lewej strony, przechodzi w około na prawą połowę przodów, wzdłuż której spuszcza się nakształt ranwersu, aż do wcięcia stanu. Zapięcie dane niewidocznie na haftki; na rękawach dane wykłady oznaczone na fig. 88. Spódniczkę stanowi falbana 15 cent. długa, 215 cent. obwodu mająca, składana w podwójne kontrafałdy po 6 cent. szerokie.

N. 6 i 21. Płaszczyk z peleryną dla dziewczynki lat 3—5. Krój na arkuszu N. XV, fig, 80—84.

Ryc. 6 przedstawia plecy płaszczyka z jasno-piaskowego sukienka, oszytego ciemniejszą pletnią wełnianą pół i 4 cent. szeroką, a ryc. 21 przedstawia model z białego sukienka z peleryną z białej wełnianej koronki; można również użyć granatowego korciku i ponsowej wełnianej koronki. Pod przody z brzegów podszywa się skośne listewki 8 i pół cent. szerokie; przecięcie na kieszonki odznaczone jest na fig. 80. Fałda u dołu pleców od 20 do gwiazdki, przyczepiona jest szwem poprzecznym, z drugiej strony złożona jest krzyżykiem do punktu. W odstępie 1 cent. od środkowego szwa pleców, przystębnowane są wierzchem obie połowy peleryny (fig. 83), zaszyte dwa razy na ramionach: koronkowa pelerynka, jaką widzimy na ryc. 21 odrobiona jest z jednego kawałka szerokiej koronki nadmarszczonego w około szyi. Na ryc. 6 u dołu pelerynki z tyłu dane są pukielki z pletni, zakończone kwaścikami. Kapelusz bastowy z szerokiemi rondami, opasany aksamitką.

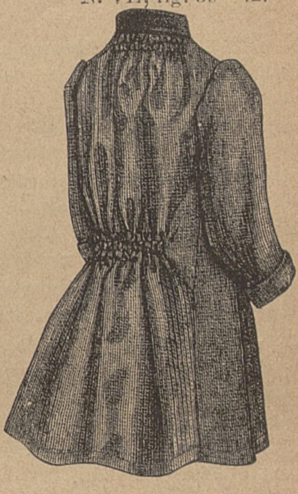


N. 3. Sukieneczka dla chłopczyka lat 2—4. Opis na arkuszu.

N. 4. Paletocik dla chłopczyka lat 2—4. Patrz ryc. 5. Krój i opis na arkuszu N. VII, fig. 39—42.

N. 9. Sukieneczka z pelerynką, dla dziewczynki lat 7—9.

Ubranie spacerowe odrobione jest formą pośrednią między sukienką a paletocikiem z ponsowej flanelki, takiejże materyi surah i ciemniejszego aksamitu. Środkiem przodów dodany marszczony żabot z materyi, rozszerzający się do dołu i spuszczony na równi z sukienką. Krótka gładka pelerynka wszyta wraz ze stanikiem w stojący kołnierzyk, przyczepiona jest niewidocznie do przodów. Przybranie aksamitnemi pliskami dane podług ryc. 9.



N. 7. Paletocik z przemarszczeniem dla dziewczynki lat 3—5. Patrz ryc. 8. Krój i opis na arkuszu N. IV, fig. 26—30.



N. 8. Paletocik z przemarszczeniem. Patrz ryc. 7.

N. 9. Sukieneczka z pelerynką dla panienki lat 7—9.



N. 13. Sukienka bluzkowa z karczkiem dla panienki lat 7—9. Patrz ryc. 38 w N-rze 18. Krój i opis na arkuszu N. VI, fig. 34—38.



N. 5. Plecy do ryc. 4.

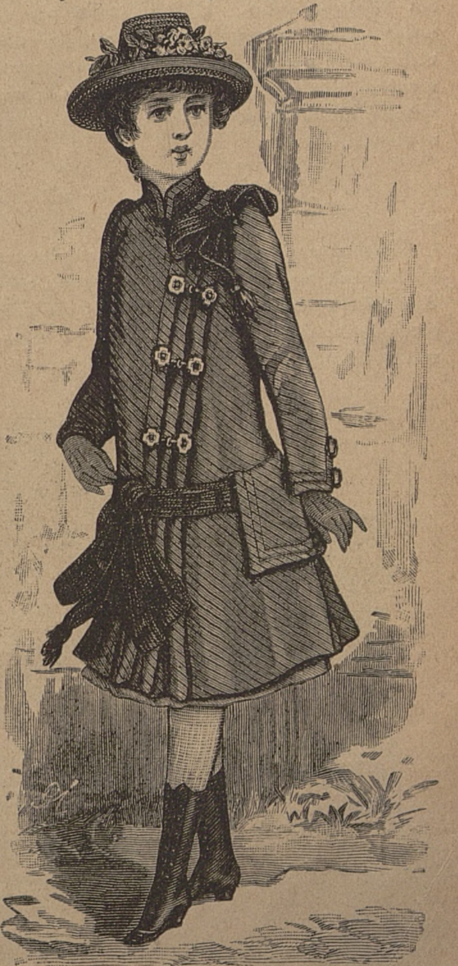


N. 11. Paletot z fałdami dla chłopca lat 6—8. Patrz ryc. 10. Krój na arkuszu N. XIV, fig. 77—79.

N. 12. Płaszczyk z peleryną tworzącą rękawy; dla panienki lat 12—14. Patrz ryc. 17. Krój na arkuszu N. XII, fig. 68—71.



N. 10. Plecy do ryc. 11.



N. 14. Paletocik skośnie zapinany, dla panienki lat 10—12. Patrz ryc. 31 w N-rze 18. Krój i opis na arkuszu N. XIII, fig. 72—76.



N. 15. Kapelusz słomkowy naszyty rzędami pereł, dla młodej panienki.

przecięcia w fałdach; kieszonki są 12 cent. długie a 9 szerokie; kołnierz wykładany.

N. 12 i 17. Płaszczyk z pelerynowemi rękawami, dla panienki lat 12—14. Krój na arkuszu N. XII, fig. 68—71.

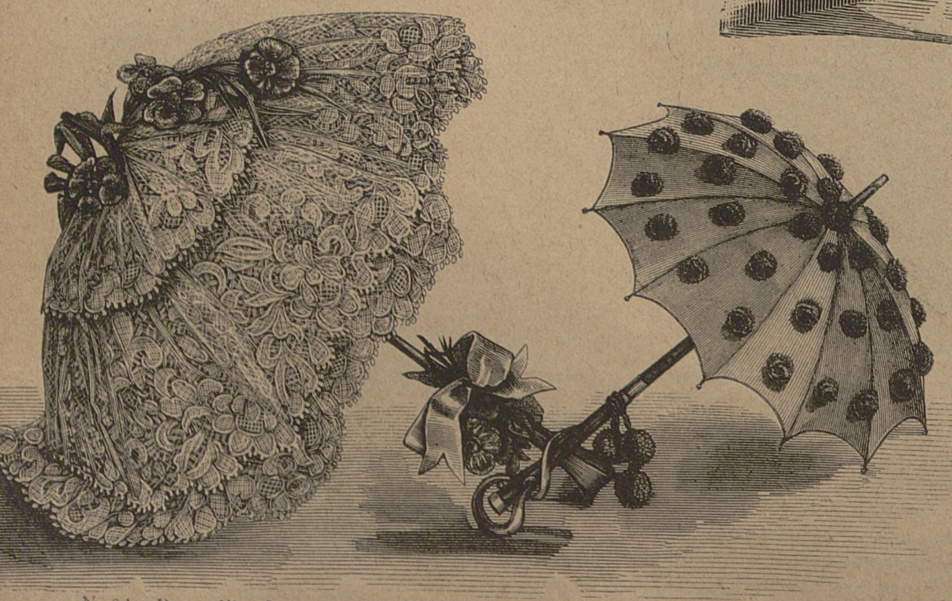
Fig. 68—70 dają formę płaszczyka, a fig. 71 rękawów pelerynowych; peleryna przemarszcza się podług linij prostych pięć razy, pod szyją do 8 cent., na ramionach do 16 cent. szerokości. Do stanika pod peleryną przyszywa się część spódniczkowa 41 cent. długa, 270 obwodu mająca, z przodu dodana gładko, z tyłu złożona w trzy podwójne kontrafałdy, po 12—14 cent. szerokie. Przy brzegach przednich naszyte są z wierzchu części żabotowe, na które potrzeba kawałków po 52 cent. długich, 21 szerokich, pod szyją zmarszczonych do 4 a u dołu do 5 cent. Na tylnym szwie peleryny przystębnowana podwójna kontrafałda, 8 cent. szeroka; brzegi rękawów oszyte plisą aksamitną u dołu 8, w górze 6 cent. szeroką; kołnierz stojący 4 cent. szeroki. Kapelusz słomkowy, zdobny wstążką deseniową i świecącemi szpilkami.

N. 15. Kapelusz czarny słomkowy, zdobny rzędami pereł.

Fasonik z szeroko plecionej słomki, ma główkę 14 cent. wysoką, zdobną rzędami czarnych szlifowanych pereł, danych brzegiem słomki. Rondo wygięte w ząb, liczy z przodu 9, z tyłu 4 i pół cent. szorokości i ma brzegi odwinięte na 2 i pół cent. szerokości, od spodu podszyte aksamitem i zdobne dwoma rzędami pereł. Główkę otacza aksamitka 5 cent. szeroka, związana z tyłu w kokardę, przypiętą od spodu; przedni garnirunek dany wierzchem rondka aż na wierzch główki, składa się z czterech kokard, z których dwie z oliwkowej, dwie z różowej wstążki ottoman; środkiem kokard dana girlandka z róż i zielonych liści.

N. 16. Kapelusz dla młodej panienki.

Fason ze słomki granatowej przeplatanej ponsową, ma główkę 14 cent. wysoką, zwężoną w górze i rondko proste z przodu 8, z tyłu 4 cent. szerokie; do objęcia brzegów i do przybrania służy granatowa wstążka 6 i 4 centym. szeroka, przerabiana w muszki ponsowe.



N. 24. Parasolik zdobny kwiatami.

N. 25. Parasolik powozowy z pomponami.

N. 10—11. Paletot z fałdami, dla chłopca lat 6—8. Krój na arkuszu N. XIV, fig. 77—79.

Może być odrobiony z gładkiego lub deseniowego korciku, krając przody i plecy podług formy fig. 77—79, z naddaniem na fałdy, które następnie podług krzyżyków i kropek składają się, załamują płasko i zaszywają do 20 cent. odstępu od dołu. Pasek 4 cent. szeroki przewleczony jest przez bianego w kolorowe muszki; ryc. 22 w dzisiejszym N-rze przedstawia model z popielatego welwetu w drobne paski. Fig. 63 daje formę przodu idącego pod spód, a cienka linija prosta, oznacza formę prawej połowy przodu zachodzącej na wierzch skośnie od ramienia; do zapięcia służą dwie agrafki, z których jedna dana na ramieniu, a druga poniżej wcięcia stanu. Kołnierzyk stojący aksamitny. Paletocik z szewjotu na szwach podszywa się skosami atłasu a aksamitny, pluszowy lub welwetowy wymaga pod-

fig. 17, dodaje się podług odpowiednich liter. Przy plecach z boku dane fałdy, założone pod spód podług krzyżyków i kropek; środkowe tylne brzegi założone w fałdę. od V do dołu zostają otwarte; lewa połowa pleców oszyta dwoma rzędami koronki, podług ryc. 23. Rękawy u dołu ogarnirowane koronką, zwróconą w dwie strony. Kapturek podszyty materyą, kraje się podług fig. 61; górny brzeg oszyty koronką, wyłożony na 13 cent. szeroko i sfałdowany. Wykrój szyi przymarszcza się odpowiednio



Ubrania spacerowe.

N. 17. Płaszczyk z peleryną tworzącą rękawy, dla panienki lat 12—14. Krój na arkuszu N. XII, figury 68—71 Patrz ryc. 12.

N. 18. Płaszczyk podróżny. Patrz ryc. 34 w N-rze 18. Krój na arkuszu N. III, fig. 19—25.

N. 19. Płaszczyk z materyału koronkowego. Patrz ryc. 35 w N. 18.

N. 20 Okrycie letnie. Patrz ryc. 10 w N-rze 18. Krój na arkuszu N. V, fig. 31—33.

N. 21. Płaszczyk z pelerynką dla dziewczynki lat 3—5. Patrz ryc. 6. Krój na ark. N. XV, fig. 80—84.

N. 22. Paletocik skośnie zapinany. Patrz ryc. 12 w N-rze 18. Krój na arkuszu N. XI, fig. 63—67.

N. 23. Płaszczyk z kapturkiem. Krój i przód na arkuszu N. II, fig. 14—18a.

N. 22. Paletocik skośnie zapięty. Patrz ryc. 12 w N. 18. Krój na arkuszu N. XI, fig. 63—67.

Rycina 12 w N-rze 18 przedstawia paletocik z szewjotu oliwkowego, przera-

szewki jedwabnej. Kapelusz słomkowy zdobny wstążką w dwóch kolorach i bukietem róż.

N. 23. Płaszczyk z kapturkiem. Krój i przód na arkuszu N. II, fig. 14—18a.

Odrobiony z cienkiego jasno bronzowego sukienka i przybrany wełnianą koronką 9 cent. szeroką. Przód krając podług fig. 14, dopełnia się podług miar wskazanych na formie i łączy szwem od S do dołu z bokiem (fig. 15) i od X do Y ze zwierzchnią częścią rękawa, krajaną w jednym ciągu z boczkiem. Spodnia część rękawa, do wykroju płaszczyka i razem wszywa w kołnierz stojący. Guziki metalowe.

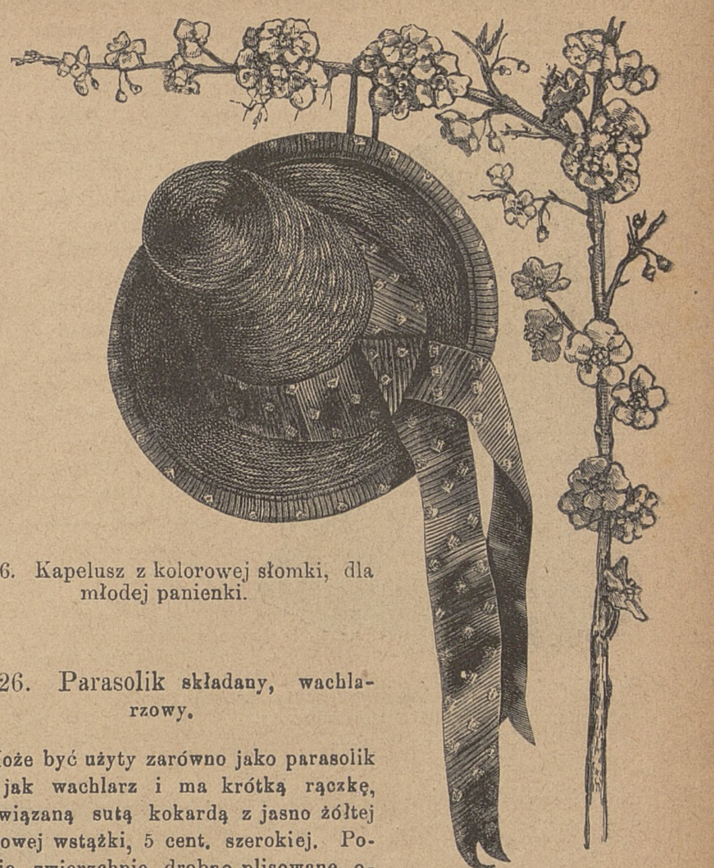
N. 24—29. Parasoliki.

N. 24. Parasolik koronkowy zdobny kwiatami.

Duży parasolik z laską jasną drewnianą, pokryty żółtawo białą materyą i takąż koronką hiszpańską. Dwa wyższe rzędy koronki są po 22 cent. szerokie, trzeci dany brzegiem jest 9 cent. szeroki. Gałązki kwiatów chamois różowych i ponsowych aksamitnych, połączone kokardami z aksamitki 3 cent, szerokiej.

N. 25. Parasolik powozowy zdobny pomponami.

Parasolik o dwunastu pręcikach, pokryty ciemno zielonym atłasem na ponsowej podszewce, naszyty z wierzchu w równych odstępach ponsowemi pomponami. Laska 70 cent. długa, z winogronowego pręcika, naturalnego koloru, opasana ponsowym sznurem z pomponami.



N. 16. Kapelusz z kolorowej słomki, dla młodej panienki.

N. 26. Parasolik składany, wachlarzowy.

Może być użyty zarówno jako parasolik lub jak wachlarz i ma krótką rączkę, przewiązaną sutą kokardą z jasno żółtej atłasowej wstążki, 5 cent. szerokiej. Pokrycie zwierzchnie drobno plisowane, oszyte u góry i u dołu koronką 6 cent. szeroką, dane z blado-żółtego atłasu.

N. 27. Parasolik z kwadratowej haftowanej chustki. Patrz ryc. 5 w N-rze 18.

Pokrycie zwierzchnie stanowi kwadratowa chusteczka z jedwabnego bastu, haftowana w rzucik ponsowy, rozpostarta na pręcikach podszytych ponsowym atłasem, który wysuwa się z pod chusteczki. Trzy rzędy koronki plisowanej 5 cent. szerokiej pokrywają atłas. Na lasce związana kokarda z wstążki atłasowej 4 cent. szerokiej, koloru bastu i ponsowego; u gory kółko przewiązane sznelą ponsową.

N. 28 i 34. Parasolik (marquise) z pokryciem tiulowem.

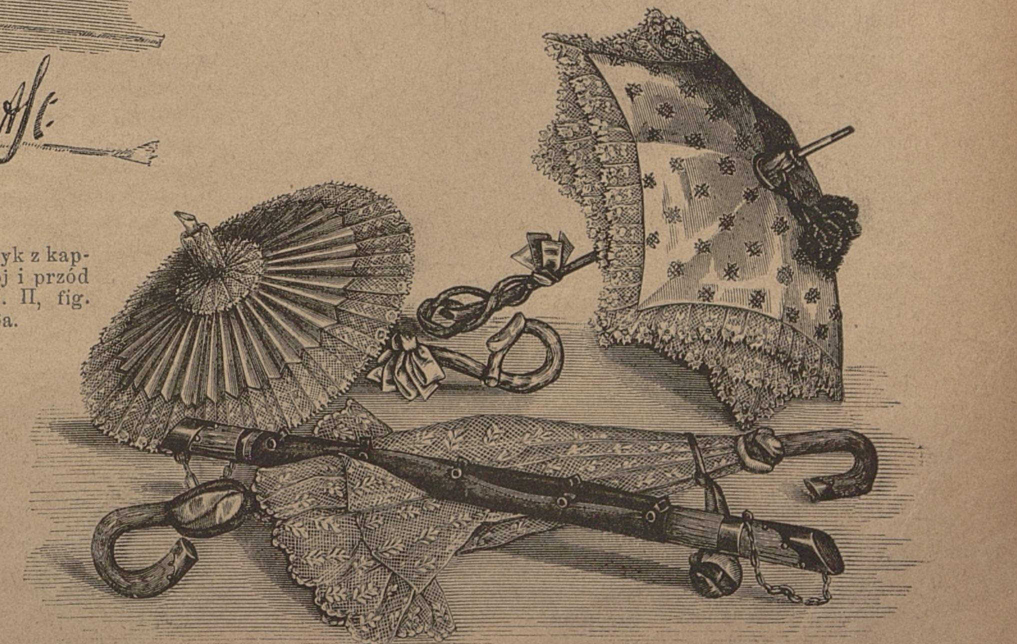
Kwaterki z materyi piaskowej, okrągławo wycięte u dołu, podszyte jedwabną podszewką i przyszyte do pręcików parasolika, przysłonięte są z wierzchu pokryciem tiulowem bez szwu, wyszywanem podług ryc. 34 bawełną piaskową; koronka wyszyta odpowiednio do tła.

N. 29. Parasolik en-tout-cas, z futerałem.

Pokryty z wierzchu czerwonawo bronzową materyą, ma grubą sękatą laskę naturalnego drzewnego koloru, której czubek i rączka ozdobione są okuciami z bronzu z łańcuszkami. Zwracamy uwagę na praktyczny futerał z tej samej materyi co pokrycie, zapinany w całej długości na guziczki i pentelki lub kółka.

N. 30 i 40. Spódnica z turniurą. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 90—91.

Turniura wzdłuż przodu zapinana na guziki, przez przypięcie u dołu oddzielnego wolantu zamienia się na strojną krótką spódniczkę, jaką przedstawia ryc. 30. Model był z ciemno-ponsowego atłasu, z czarną koronką chantilly, 10 cent. szeroką. Na fig. 90 wypisane są miary szerokości i długości każdego bryta; oba tylne bryty c podszyte są ponsowym perkalem, do wsuwania stalek 1 cent. szerokich danych poprzecznie, w odstępach oznaczonych linijami prostemi i centymetrami. Między trzema ostatniemi rzędami dana jest środkiem jedna podłużna stalka, widoczna na ryc. 30, przy górnych stalkach również dane są z boku dwie stalki podłużne, po 24 cent. długie, w środku zaś na wierzchu dane fałdowanie 28 cent. długie, u dołu ścięte w ząb. Górne stalki od spodu mają podszyte



N. 24. Parasolik składany.

N. 27. Parasolik z haftowanej chustki kwadratowej.

N. 28. Parasolik „marquise."

N. 29. Parasolik en-tout-cas w futerale.

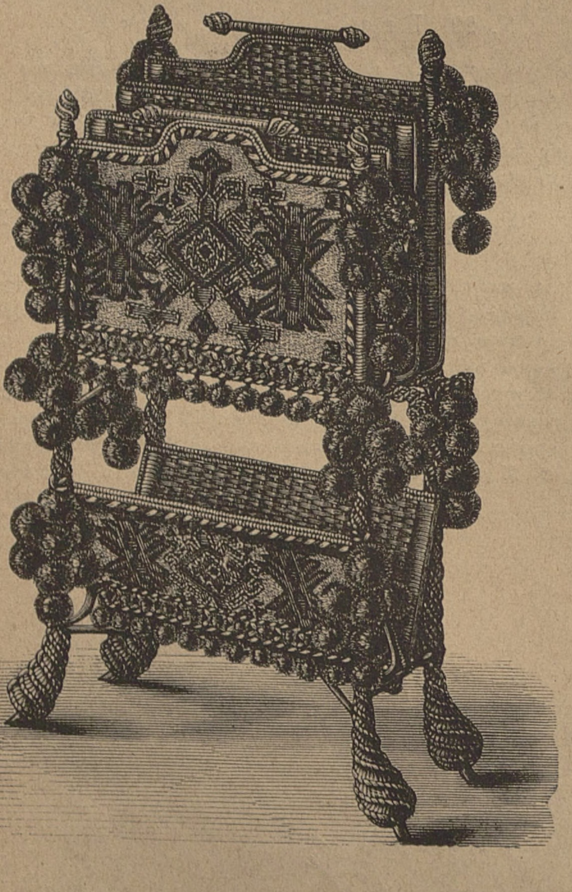
kawałki podwojnego perkalu po 28 cent. długie, u góry 9 u dołu 10 cent. szerokie, środkiem sznurowane. Dolna połowa turniury, ma podszyty kawałek perkalu 39 cent. długi, u góry 17, u dołu 27 cent. szeroki, z boku zapięty na guziki. Bryty tylne i boczne do połowy wszyte są w pasek 30 cent. długi, 3 cent. szeroki, dający się zmarszczyć na tasiemkę; przód zaś i pozostała część boków wszyta w pasek okrągły, wykrojony podług fig. 91. Brzegi turniury podszyte skośną listewką 3 cent. szeroką. Wolant dolny urządzony do przypinania na guziki, liczy 32 cent. szerokości a 285 obwodu i wstębnowany jest w pasek 3 cent. szeroki, odpowiedni obwodowi turniury.



N. 30. Spódnica z turniurą. Patrz lewą stronę na ryc. 40. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 90—91.

N. 31—32. Suknia z długą tuniką. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 43.

Ryc. 31—32 przedstawia z przodu i z tyłu suknię z voile gładkiego białego i w kwiatki kolorowe. Na spódnicy z materyału podszewkowego dany wolant 65 cent. szeroki układany w kontrafałdy po 22 cent. szerokie. Tunika wymaga jednego wielkiego bryta, w którym na środku z tyłu przecina się rozporek, a brzegi boczne zwrócone do środka przodu; górny brzeg marszczy się w odstające fałdki odpowiednio do objętości paska, następnie materyał składa się gwiazdką do gwiazdki i dwukropkiem do dwukropka, z jednej strony od krzyżyka podpina w górę, z drugiego boku na 54 cent. od brzegu przedniego, podpina kokardami do 45 cent. wysokości. Kokardy z wstążki ottoman ponsowej i szafirowej, dodają się podług ryc. 31 i 32.



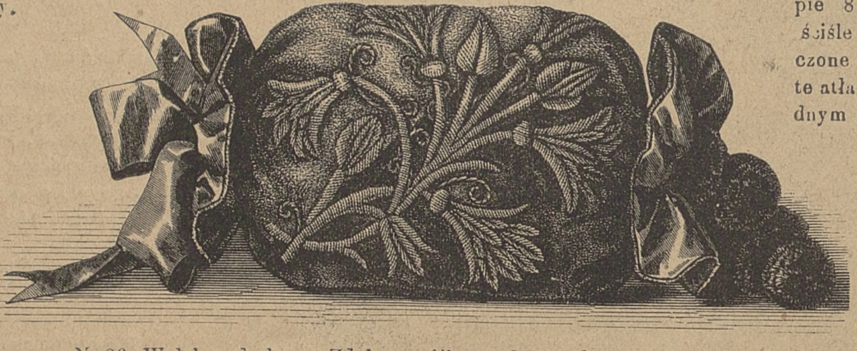
N. 37. Teka na pisma tygodniowe i gazety. Deseń haftu patrz fig. 44.

N. 35. Gniazda bocianów, jako przykrycie na kinkiet. Kroj na arkuszu N. XIX, fig. 93—94.

Gniazdo ma podstawę uplecioną z drucika w kształcie koszyczka i wysłane jest mchem farbowanym, otoczonym chrustem, połączonym niewidocznie drucikiem. Fig. 93 do 94 dają formę bocianów z podwójnie wziętego sztywnego muślinu, fig. 93 daje przez połowę formę stojącego bociana, z brzegu sfałdowaną, następnie do 40 cent. obwodu i oszytą drucikiem; szyjka i głowa wyginają się z drutu owiniętego muślinem; ogonek dodany z kawałka szpiczastego 3 cent. szerokiego, 4 długiego; dziób wystrugany z drewna i pomalowany czerwono. Zewnętrzne pokrycie stanowi wata biała, odpowiednio cięta i ułożona na muślinowej podstawie, do której przyczepia się niewidocznemi ściegami. Bocian stojący ma skrzydła ułożone z dwóch kawałków przykrojonych podług fig. 94 i sfałdowanych podług znaków, następnie zszytych ze sobą a od spodu podpartych korpusem dodanym z waty. Szyja, ogonek, dziób dodają się jak do poprzedniego, a nogi dorabiają z pręcików drewnianych, odpowiednio pomalowanych.



N. 35. Gniazdo bocianie jako przykrycie na kinkiet. Patrz fig. 93—94 na arkuszu.



N. 36. Wałek pod głowę. Zdobny aplikacyą haftu złotem. Patrz fig. 100.



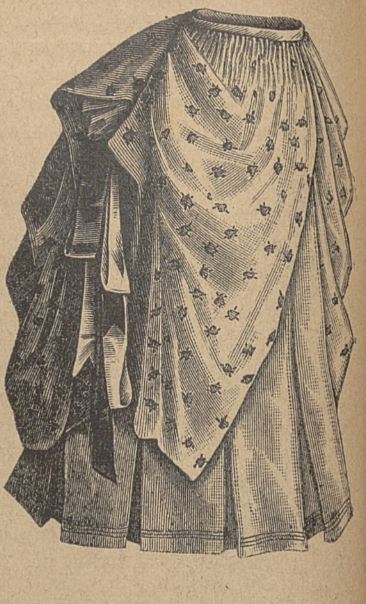
N. 38. Kosz na noże i widelce, w środku obszyty ceratą, ma denko korkowe. Zwierzchnie przyozdobienie z kwadratów i pomponów. Patrz ryc. 39.



N. 40. Lewa stronu rozpiętej turniury, do ryc. 30. Krój na arkuszu N. XVII.

N. 36. Wałek pod głowę, z haftem złotym. Deseń patrz fig. 100 na arkuszu.

Pokrycie wałka stanowią dwa trójkątne kawałki, skośnemi brzegami zwrócone do środka i zszyte z sobą, z pluszu zielonawo-niebieskiego i złotawo-bronzowego. Brzegi w odstępie 8 cent. są ściśle zmarszczone i podszyte atłasem, w jednym końcu podpięte kokardą, w drugim pomponami. Efektowne przyozdobienie stanowi gałązka haftu złotem, aplikowana na środku.



N. 31. Suknia z długą tuniką. Patrz ryc. 32. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 43.

N. 37. Teka stojąca na pisma tygodniowe i gazety. Deseń haftu na arkuszu fig. 44.

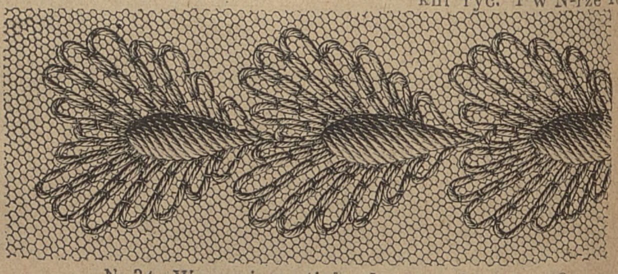
Liczy 95 cent. wysokości a 38 cent. szerokości i pleciona jest koszykowo z piaskowej trzcinki; jak to przedstawia ryc. 37 u góry zrobione są trzy przedziały, u dołu dane dwie ścianki schodzące się skośnie. Zewnętrzne przyozdobienie stanowi haft odrobiony kolorową włóczką angielską na białej flanelce, podług fig. 44 i różno kolorowe pompony włóczkowe, dodane podług ryc. 37.



N. 32. Plecy do ryc. 31.



N. 33. Lewa strona sukni ryc. 1 w N-rze 18.



N. 34. Wyszycie na tiulu, do parasolika ryc. 28.



N. 39. Kwadrat szydełkowy do ryc. 38.